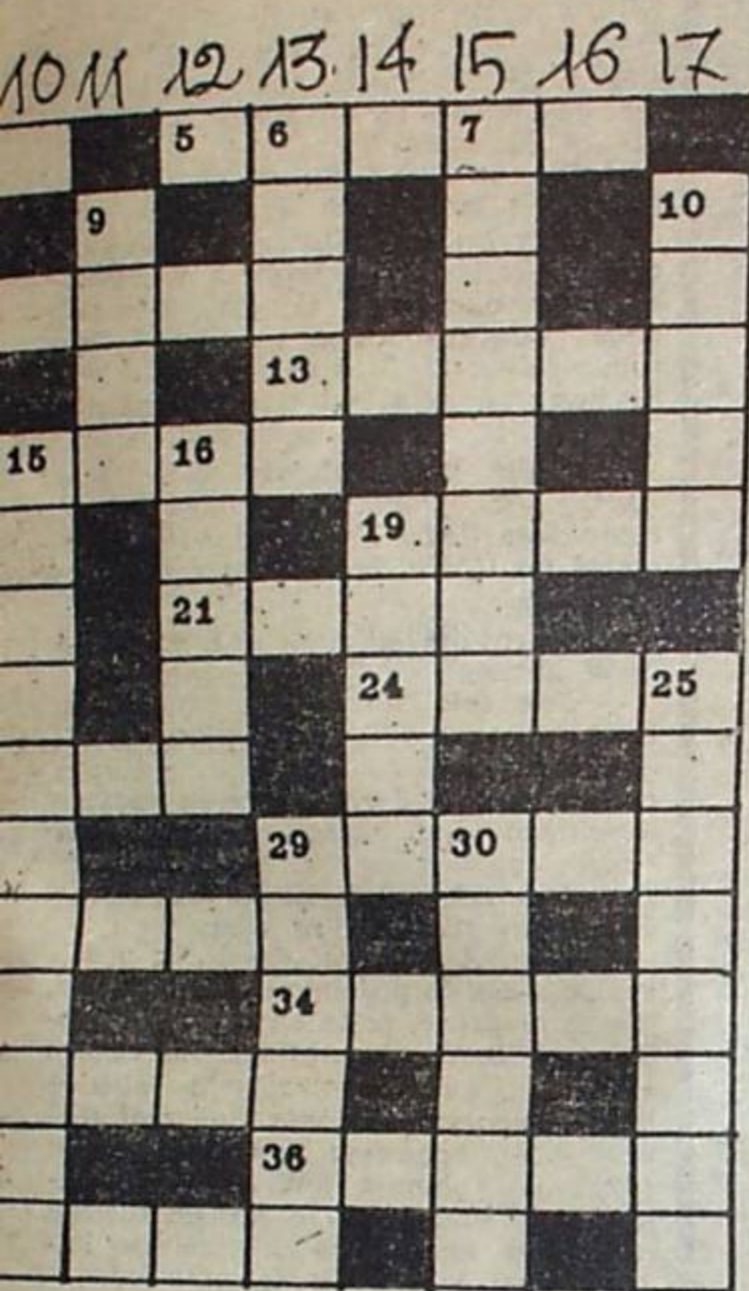


Kammena

NR 5 (825)

10 marca 1985

CENA 10 ZŁ



Gdzie są poetki z tamtych lat?

Anna Koziolkiewicz

MĘCZYŹNI dominują w wielu dziedzinach życia. W poezji również. Widać to wyraźnie w środowisku literackim Lubelskiej poezji. A przecież arka lubelskiej poezji sterowała niemal od początku kobietą! Wprawdzie pierwszym przewodniczącym Związku Literatów w Lublinie 21 maja 1932 roku został Józef Czechowicz, ale już 6 czerwca zrzekł się tej godności na rzecz Franciszki Arnsztajnowej, która kierowała związkiem aż do 1934 roku, aż do... No właśnie! Arnsztajnowa bolała nad tym, iż większość członków lubelskiej organizacji literackiej — z Józefem Czechowiczem na czele — wye-migrowała do Warszawy, po czym... sama do stolicy wyjechała. Pęd do stolicy uszczuplał i uszczupla nadal stan posiadania lubelskiego oddziału ZLP.

Gdybyż był to awans do poetyckiej ekstraklasy, pozostałaby chociaż дума, że z naszego narybku te indywidualności twórcze. Niestety tak się nie stało, zwłaszcza w przypadku kobiet. Przeprowadzki lubelskich poetek do stołecznej Mekki wydawniczej na ogół nie owocowały nowymi tomikami. Zamiast złotego runa znajdowały tam milczenie, znikły z poetyckiego horyzontu. A te, które pozostaly wierne Lublinowi? Obiecujące debiuty a potem — małżeństwo, dzieci, dom i... też poetyckie milczenie. A jeśli nie milczenie, to co najwyżej, stłumiony sz... nieregularny, zaganiany Teza ta jest zapewne uproszczeniem losów kobiecej poezji, ale... Jakże są zatem poetyckie fakty, buchalteria startów i met?

Wśród piątki autorów zbiorowego tomu poezji pt. „Prom” (Wyd. Lubelskie 1962) — i y panie: Jadwiga Biaduń, Violetta Szore i Nelly Zachajkiewicz. W „Almanachu Lubelskiego Klubu Literackiego” (Wyd. Lubelskie 1966) spośród 20 autorów znalazłam już aż sześć kobiet. O sile reprezentacji żeńskiej w tej antologii świadczy fakt, iż proporcje ilościowe tekstów są zdecydowanie po ich stronie. Pięknie. Ale kto dziś słyszy o liderce almanachu, i enie Koziolkiewicz (11 wierszy), która karierę poetycką zakończyła na debiutanckim tomiku „Lowy” (Wyd. Lubelskie 1960)? A szkoda, bo była to poezja zaskakująca dojrzałym spojrzeniem, dużą rytmicznością, trwałą melodią, bogatym, choć lapidarnym, językiem. Gdzie jest

Na starcie: nawet przewaga kobiet.

Ciąg dalszy na str. 6—7

Bój

MARZEC 1945

o Kołobrzegu

Mieczysław Wieliczko

„...przywrócić Ojczyźnie ziemię Chrobrego i Krzywoustego” — pisał w rozkazie 18 marca 1945 r. dowódca 1 Armii WP. Tego dnia o godz. 6.45 stanęły w szeregu pododdziały 3 DP im. R. Traugutta na piaszczystym brzegu, a między nimi żołnierze 7 p. piech. Oni pierwsi osiągnęli ten brzeg po dziesięciu dniach krwawych zmagani — boju o Kołobrzeg. Trzech spośród nich stało po kolana w wodzie dzierząc biało-czerwoną flagę, uroczystie pochyloną. mówili: „Ślubujemy Tobie Ojczyźnie strzec polskich granic na Bałtyku...” Słowa te niby echo powtarzały dalsze szeregi — uformowane „do przysięgi”, z odkrytymi głowami i prawą ręką złożoną w geście uroczystego ślubowania. Lewa dłoń obejmowała lufę broni, niejednokrotnie jeszcze ciepłą, bowiem zaledwie godzinę temu ustały ostatnie walki.

W tym miejscu 3 listopada 1963 r. odsłonięto „Pomnik zaślubin Polski z Morzem” którego 20-metrowa bryła z granitu tworzy stylizowaną flagę wbity drzewcem w dno morskie. Ten kształt pomnika nawiązuje do wspomnianego faktu historycznego, gdy trzej żołnierze zatknęli w fale Bałtyku o-kryta chorągiew biało-czerwoną. Śladem wojów Bolesławowych przynieśli pias-

towskie barwy nad brzeg Bałtyku i przywrócili Polsce Pomorze. Szli do tego miejsca — ujścia Parsęty w Bałtyku, poprzez bitewne zmagania na Wale Pomorskim. Począwszy od 1 lutego tamali opór na 770 km² umocnionej pozycji — wschodniej strefy niemieckiej obrony, nazwanej „Nibelungstellung”. Najsilniejsza i rozbudowana jej linia to „Pommernstellung” —

Wale Pomorski długi na 275 km i fortyfikowany już od 1934 r. Wąskie przejścia pomiędzy jeziorami zalesione i bagniste, zamykał cały system rowów zapór inżynierskich i żelbetonowych schronów typu specjalnego, wyposażonych w pancerne kopuły kryjące działo szybkostrzelne średniego kalibru działo ppanc i ckm, dwa ckm w strzelnicach i wyrzutnię granatów

moździerzowych. Załogę 80 ludzi chroniły ściany grubości 210 cm i strop 190 cm. Obok tego zbudowano żelbetonowe schrony sześciu typów w tym najliczniejsze typu III i IV o ścianach grubości 100 cm, wyposażone przynajmniej w jeden ckm, umieszczony w obrotowej kopule pancernej.

Ciąg dalszy na str. 4—5



Rys. Józef Tarłowski

26 II. Usłyszałem, że robię unik i nie polemizuję z Andrzejem Molikiem. W „Kurierze Lubelskim” z 15-17 lutego w tekście pt. „Nie o tym albo nagle odwiedziły alter ego” tak on nabzdurzył i nakłamał (tak, tak: nakłamał), że właściwie należałoby mu wytoczyć sprawę przed Sądem Dziennikarskim. Szkoda jednak na to i czasu i energii! Ze swej strony mógłbym jednak zapisać Molika, który niedwuznacznie zarzuca nam, że tylko z winy zespołu „Kamena” jest ciągle dwutygodnikiem, jak to się dzieje, iż „Kurier Lubelski”, tylko raz w tygodniu ukazuje się na ośmiu stronach?

Jest jednak w majaczeniu Molika coś, co mnie ubawiło. A ubawiło mnie to, że krytykując „Kamena” podpisał się „Słowem Podlasia”. Krucha to la-szczka!

Pod datą 4 stycznia napisałem w tym miejscu (nr 2 „Kamena”), że „Słowo Podlasia” obchodzi jubileusz pięćdziesiąty i że w związku z tym składam redakcji serdeczne życzenia, po czym dodałem: „W słowie od redakcji przeczytałem, że wszelkie uwagi krytyczne czytelników traktujemy jako wytyczne do dalszej pracy. Tak postępujemy i tak będziemy postępować dalej”. Ja też należę do czytelników „Słowa” i życzę mu jak najlepiej. Niemniej zachęcony przez samą redakcję chciałbym do cukru dodać trochę piolunu...”

A co było owym piolunem? Ano to, że delikatnie wyraziłem swój krytyczny pogląd na zamieszczone w tym piśmie karykatury członków zespołu, a zwłaszcza na widniejące pod nimi wierszyki. Jednego z pracowników autor tak scharakteryzował: „Pracowity, wytrwały... Taką opinią się ciesząc / Działa spokojnie i cicho, nigdy się nie spiesząc. / Jednego pochwali, drugiemu przycięci — wytknie jego błędy / I zaglądając tu i ówdzie spaceruje sobie wszędy”.

Grafomania do kwadratu! Co do tego chyba nikt nie ma wątpliwości! Niemniej redakcja „Słowa”, pomimo że zapowiedziała, iż wszelkie uwagi krytyczne czytelników traktuje „jako wytyczne do dalszej pracy”, poczuła się głęboko urażona moimi słowami i opublikowała tekst pt. „W styczniu MAJ”. Nie wiem, dlaczego MAJ, skoro pod notatnikiem podpisuję się pełnym nazwiskiem i nie ukrywam się pod literkami. A właśnie pod literkami M. M. chowa się autor repliki „Słowa”. Przeglądając stopkę redakcyjną, nie zauważyłem, aby imię i nazwisko jakiegokolwiek redaktora „Słowa” zaczynało się od tychże liter, mam więc prawo sądzić, że redakcja wypożyczyła sobie polemistę z zewnątrz, co mi — nie ukrywam — pochlebia.

Ow M. M. pisze, że uprawiam „wolnoamerykanke”, że pastwię się nad (słuchajcie, słuchajcie!) dowiecipnymi frazkami, nie dostrzegając w nich żadnej wartości(?), a potem uderza w „Kamena”, krytykując ją m.in. za druk serialu o Bruce Lee. Gdyby M. M. uważnie czytał pismo wychodzące za miedzą, „Tygodnik Siedlecki”, zauważyłby, że ów „kameno-wy” serial został tam w całości przedrukowany. Z tego faktu oczywiście wcale nie wynika, że Siedlce mają lepsze pismo niż Biała Podlaska...

M. M. stwierdza, że daję pouczenia, jak rozsądnie redagować gazetę i u d z a. Taka ona moja, jak i wasza, koledzy ze „Słowa”. Spójrzcie na podtytuł! I miejcie, choć trochę samokrytycyzmu! Poświęciliście aż dwie strony na fotoreportaż z uroczystości pięćdziesiątych „Słowa”. Jest nawet zdjęcie pięciowego tortu z pięcioma świeczkami. Strach pomyśleć, co się będzie działo, gdy „Słowo” doczeka się półwiecza! Może jednak wówczas ktoś mądry tekst później zaadiustuje i po jubileuszu nie ukaza się takie perelki: „zaszczycili ją (czyli uroczystość pięćdziesiątych) władzę polityczno-administracyjną województwa”, „dwie osoby (...) zostali udekorowane”, „pięć osób (...) otrzymały odznakę...”.

Jak dotąd, „Słowo” używa coraz większych czołonek przy prezentowaniu nazwisk poszczególnych autorów tekstów. Może to i metoda na popularność. Gdy jednak czytam niektóre spośród tych artykułów, opartych o sprawozdania i referaty (służę ewent. przykładami), zastanawiam się, jaka jest właściwie różnica między pismem a urzędowym biuletynem?

Korci mnie, aby przytoczyć jeszcze jeden wierszyk, umieszczony w „Słowie” pod karykaturą redaktora naczelnego „Słowa”. Tak go się charakteryzuje: „Zawsze elegancki, uprzejmy i miły, / Pelen werwy, inwencji oraz animuszu... / Wszyscy macie rację — nie wypada przecież, / Aby nie pochwalił Szeffa w dniu Jubileuszu.”

Jubileusz, na szczęście, minął, powinien więc skończyć się i czas ochronny. Niech mi jednak M. M. szczerze odpowie: gdzie tu dowcip? I jakich wartości(!) w owej „fraszcze” można się dopatrzeć?

3 III. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Chełmie nadało Zespołowi Szkół Zawodowych nr 4 im. Kazimierza Andrzeja Jaworskiego Odznakę „Za zasługi dla województwa chełmskiego”. Aktu dekoracji sztan-daru szkoły dokonał wiceprzewodniczący WRN, Zbigniew Markiewicz.

Ta uroczystość odbyła się przedwczoraj, chociaż święto szkoły przypada na dzień 28 lutego. Przed dziewięćmi laty właśnie, 28 lutego 1976 r., Zespół Szkół Zawodowych nr 4 otrzymał imię mego Ojca... Nie był to zwykły przypadek: w murach tego samego budynku, wzniesionego zresztą w... 1734 roku (!), mieściło się kiedyś Męskie Seminarium Nauczycielskie, przekształcone później (1937 r.) w Liceum Pedagogiczne. KAJ — jak podkreślił to w okolicznościowym referacie dyrektor szkoły, Romuald Tomczyk — przez 23 lata wykładał tu „literaturę i gramatykę ojczystą”. „Ten oddany całym sercem młodzieży pedagog — stwierdził dyr. Tomczyk — był i jest wzorem dla nauczycieli i uczniów”.

Początki obecnej szkoły sięgają 1964 r., kiedy to utworzono Zasadniczą Szkołę Zawodową nr 2. Egzaminy wstępne do klas pierwszych o kierunkach: przetwórstwo owocowo-warzywne, kelner, kucharz i piekarz odbyły się przy końcu czerwca 1964 r. Zaczynano dosłownie z niczego. Kronikarz, Michał Korzon, zanotował: „Jeszcze na początku sierpnia 1964 r. szkoła nie posiadała budynku, żadnych ruchomości, pełnego kompletu nauczycieli, była to szkoła bez ławek, krzeseł, stolików, bez kancelarii i administracji...” Słowem — typowa polska improwizacja.

Pierwszy dyrektor, Zbigniew Dulski, zablysnął talentem organizacyjnym, chociaż ówczesny budynek, odziedziczony po dawnym Technikum Ekonomicznym, miał jedynie pięć klas lekcyjnych. Szkoła była jednak miastu bardzo potrzebna, dużej pomocy w jej rozwoju udzieliłi ówczesny prezes PZGS, Rysak, oraz dyrektor Chełmskich Zakładów Przetwórstwa Owocowo-Warzywnego, Golda; nie dziwnego: tu miały rosnąć przyszłe kadry dla tych placówek...

W okresie dwudziestolecia istnienia szkoły stale rozszerzał się profil kształcenia. Ogółem szkołę ukończyło 8635 uczniów i uczennic. Zawody, jakie zdobyli? Można długo wliczać: technik przetwórstwa owoców i warzyw, kucharz, piekarz, ciastkarz, masarz, mleczarz, sprzedawca, ale także — mechanik urządzeń kolejowych, hutnik szkła, zdobnik szkła, obuwnik... Dla mnie jest wielką tajemnicą, jak ta jedna szkoła, nosząca nazwę zespołu szkół, jest w stanie być aż tak wszechstronna?

Po dyrektorze Z. Dulskim, którego powołano do pracy partyjnej, rządu w szkole objął Jan Longin Okoń, nauczyciel, pisarz, działacz społeczny. On właśnie był głównym inicjatorem nadania Zespołowi Szkół Zawodowych nr 4, mieszczącemu się już w gmachu przy ul. Dzierżyńskiego 13, imienia K. A. Jaworskiego. Z chwilą przejścia J. L. Okonia na emeryturę, dyrektorem został Romuald Tomczyk, notabene mój rówieśnik...

Na pamiątkowej imprezie po części oficjalnej nastąpiła część artystyczna. M.in. uczniowie recytowali wiersze KAJ-a i jego przekłady z poezji słowiańskiej. Ośmielię się zauważyć, że ta składanka niezbyt mi się podobała. Wiadac, że wyboru dokonano pośpiesznie i niezbyt trafnie. Ale de gustibus...

Później wpadłem do Mołodutyna, gdzie w opłakanych warunkach mieszka Wawrzyniec Berezcki. Jego nazwisko figurowało w przedwojennych zeszytach „Kamena”. Był on „redaktorem odpowiedzialnym”. Berezcki ma dzisiaj lat dziewięćdziesiąt, w najbliższym czasie będzie przeniesiony do „domu spokojnej starości”. W tej chwili przegląda dorobek swojego ży-

cia, kilka tomów wspomnień wzięłem do Lublina, częściowo drukowaliśmy je już w „Kamieniu”, ale, sądzę, że jeszcze coś się w nich ciekawego wy-najdzie.

Berezcki przez pewien czas pracował przed wojną w chełmskiej „Kronice Nadbużańskiej”. Swoje teksty wycinał i wyklejał w specjalnych zeszytach. Przedwojenne sądy nie patyczkowały się z działaczami komunistycznymi! Oto w 1933 r. przebywał w Chełmie na sesji wyjazdowej Lubelski Sąd Okręgowy. Berezcki odnotował wyroki, jakie wówczas zapadły. Posłuchajmy:

„Aleksandra Sachanowska, 35 lat, z Warszawy. Kurierka K(omunistycznej) P(artii) Z(achodniej) U(krainy). W dniu 28 czerwca przybyła do Chełma jako kurierka partii. Ujęta została w po-ciąg. Udowodniła jej b. czynną działalność komunistyczną (4-letnią karę więzienia za działalność komunistyczną odbył również jej mąż). Wyrok: 5 lat więzienia z pozbawieniem praw na przeciąg lat 10”.

Albo:
„Dora Szucberger, vel Gross, lat 21, z Borysławia, łącznik komunistyczny. Działając z polecenia sekretarza Okr. Kom. Part. Zach. Ukr., Poturaja, przy-wiozła w lipcu 1933 r. do Brzyżna, gm. Swierże, walizkę z odeszłymi komunistycznymi (...). Kiedy wracała, została 13 lipca 1933 r. zaarrestowana na stacji Chełm przez przedownika służby śledczej (...) Podczas rewizji znaleziono u niej kopertę ze sprawozdaniem kasowym ukrytą pod sutkami.

Wyrok 8 lat więzienia z pozbawieniem praw na 10”.

Komentarze zbyteczne!
Nie lubię jeździć samochodem w nocy, więc zatrzymałem się w hotelu „Kamena”. Od 1 marca płaci się tu za pokój jednoosobowy o 100 zł drożej, czyli złotych 800. Podwyżka podwyżką, ale w łazience nie ma nawet du-żego ręcznika. Nocne życie kwitnie na dole, choć, muszę przyznać, że p. Andrzej Pietrzykowski dobrze daje sobie radę z osobami, które chcą rozrabiać, a p. Andrzej Łoś ma spory zapas taśm z interesującymi nagraniami, które puszcza niemal bez przerwy. Za bar-kiem obsługuje gości (ciągle są tylko dwa stołeczki!) p. Eugeniusz Balabas, który przeniósł się do Chełma ze Szczecina (serce — nie sluga!), mieliśmy więc wspólny temat. Nazwiska zapamiętałem, a więc nikt mnie nie posądzi o... przesadę. Zresztą przy tych cenach trunków!

A swoją drogą dyrekcja hotelu mogłaby pomyśleć o specjalnych zniżkach dla członków zespołu redakcyjnego „Kamena”. Ostatecznie „Kamena” — pismo była wpięć niż „Kamena” — hotel!

M. A. Jaworski

Liga angielska

Nie mieliśmy miejsca w poprzednim numerze „Kamena” na przedstawienie naszych typów w kolejnych rozgrywkach ligi angielskiej. Teraz nie możemy też zająć się rozgrywkami przewidzianymi na dzień 9 marca, bo nie znamy zestawu par (jest to m.in. VI runda Pucharu Anglii). Podajemy natomiast typy na sobotę, 16 marca:

1. Arsenal — Leicester — 1X
2. Aston Villa — Everton — X2
3. Liverpool — Tottenham — 1X
4. Newcastle — Coventry — 1X2
5. Norwich — Sunderland — 1
6. Nottingham — West Bromwich — 1
7. Queens Park — Ipswich — 1
8. Sheffield Wed — Luton — 1
9. Southampton — Stoke — 1
10. Watford — Chelsea — 1X
11. Blackburn — Birmingham — 1
12. Brighton — Oxford — X2
13. Fulham — Charlton — 1

Konkurs literacki dla młodzieży

Dom Kultury Lubelskiej Spółdzielni Mieszkaniowej ogłasza konkurs literacki dla młodzieży uczącej się i pracującej na Lubelszczyźnie. Na konkurs należy nadsłać nie więcej niż jedno opowiadanie (do dziesięciu stron maszynopisu) o dowolnej tematyce. Rekonesans nie będą oceniane. Łączna suma nagród wynosi 25 tys. zł. Wysokość poszczególnych nagród ustali jury po orzeczeniu wszystkich nadesłanych prac.

Teksty (każdy w trzech egzemplarzach) należy nadsyłać do 31 marca 1983 r. pod adresem: Dom Kultury LSM, ul. Konrada Wallenroda 4 a, 20-607 Lublin z dopiskiem na kopercie „Konkurs literacki”.

Każdy tekst musi być oznaczony godłem. Do tekstów należy dołączyć kopertę z godłem, wewnątrz której autor powinien podać kartkę z informacją zawierającą: imię i nazwisko, adres, wiek oraz miejsce nauki lub pracy.

Rozstrzygnięcie konkursu nastąpi w Domu Kultury LSM 17 kwietnia o godz. 17.

„Kamena” deklaruje gotowość druku niektórych spośród nadesłanych prac, uszczelniając to, oczywiście od ich poziomu.

40 LAT „Sztandaru Ludu”

— Nie chciałbym, abyś myślał, że z mojej strony to jest tylko rewanż. Kiedy półtora roku temu „Kamena” obchodziła jubileusz 50-lecia, „Sztandar Ludu” przeprowadził ze mną rozmowę. Teraz, gdy „Sztandar” świętuje swoje 40-lecie...

— ...to ty mnie odwiedzasz. Nie obawiasz się, że po niedawnej polemice między naszymi piśmami niektórzy posądzą cię, że poszedłeś do Canossy?

— Są ludzie i ludziska. Ciągłe mi się wydaje, że tych polemik, ale nie ad personam, powinno być na łamach prasy lubelskiej znacznie więcej; na ten temat może pogawędzimy przy innej okazji. Osobiście uczuciowo jestem bardzo związany ze „Sztandarem”, bądź co bądź pracowałem w nim w latach 1948—1957. To dla dziennikarza, i nie tylko dla dziennikarza, szmat czasu... Ile ty miałeś lat w 1948 roku?

— Pięć... Nikt z nas nie ma wpływu na dzień urodzin!

— Tak samo mówiłem kiedyś ojcu, gdy mnie strofował! Ale mam kolejne pytanie: kiedy zacząłeś systematycznie czytać „Sztandar”?

— W czasach studenckich. A codzienną lekturą stał się on dla mnie od 1965 roku, kiedy to zaproszono mnie do redakcji. Uczestniczyłem w dyskusji przy okrągłym, jak to się mówi, stole. Rolę gospodarza pełnił red. Zygmunt Mikulski. Mój głos, a także, wydrukowano, mogę więc to uważać niemal za „debiut dziennikarski”.

— Wiem, że działałeś wówczas w ZSP, jak pamiętam, byłeś nawet członkiem Rady Naczelnej ZSP, kierowałeś na WMCS-ie działem spraw studenckich...

— Stare dzieje! Potem trafiłem do RSW „Prasy”...

— Tak, tak. Można więc powiedzieć, że twoja przygoda dziennikarska zaczęła się już przy końcu lat sześćdziesiątych. Od 1972 roku pełniłeś funkcję dyrektora Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego...

— Jedenaście lat. Blisko współpracowałem wówczas z sobą.

— Fakt. A ponieważ dzień bez podlizywania się, to podobno dzień stracony, muszę przyznać, że ta współpraca układała się bardzo pomyślnie. Za twoich rządów „Kamena” otrzymała obecny lokal i jego wyposażenie. Nadszedł jednak dzień rozstania, kiedy w marcu 1983 roku planem KW PZPR w Lublinie zatwierdziło cię na stanowisku redaktora naczelnego „Sztandaru Ludu”. Jakże miałeś wtedy uczucia?

— Szedłem do „Sztandaru” z dużą obawą. Nurtowało mnie pytanie: jak będę przyjęty przez zespół?

— Zespół znał ciebie z dotychczasowej pracy, sądzę, że ciebie cenili.

— To za dużo powiedziane! Zespół znał mnie, prawda, ale co innego być dyrektorem wydawnictwa, a co innym redaktorem naczelnym partyjnego pisma. Miałem pewne obawy, nie mam co ukrywać, czy podolał innym i wzmożonym obowiązkom.

— Jako dyrektor założyłeś trzy nowe tygodniki wojewódzkie...

— Ale wszystko to nie to! Czym innym jest budowanie domu, a czym innym — wypełnianie go życiem. W tym przypadku — żywym dziennikarskim produktem.

— Wydaje mi się jednak, że zespół szybko cię zaakceptował?

— O to powinienesz zapytać już zespół, a nie mnie. Muszę jednak przyznać, że w tym zespole znalazłem wielu autentycznych przyjaciół, którzy pomagali mi i ciągle pomagają w codziennej pracy. Gazeta stanowi produkt wspólny, najładniejszy szef niewiele zdziała jeśli nie znajdzie wspólnego języka z ludźmi, którymi kieruje. Odnosi się to zresztą nie tylko do samej gazety...

— Wiem coś o tym.

— Właśnie! Wiele pomysłów dotyczących redagowania pisma rodzi się w samym zespole. Sprawa kolegium, sprawa redaktora naczelnego jest wprowadzenie tych pomysłów w życie. Z drugiej jednak strony ja, jako redaktor naczelny, głównie odpowiadam za pismo i to w wielu wypadkach zmusza mnie do podejmowania decyzji jednoosobowo. Oczywiście przed podjęciem decyzji staram się jak najwięcej rozmawiać z ludźmi.

— Objąłeś kierownictwo redakcji zastając określony zespół. Ale nie trwa wечно, jedni do tego zespołu przychodzą, inni odchodzą, zmieniają redakcje, to proces zupełnie natural-

SZTANDAR LUDU

PISMO POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ

Rok I

Lublin, wtorek 13 marca 1945 r.

Nr 1

Polska musi przyjść na konferencję pokojową silna i zwarta

Wieś polska na nowej drodze

Uzyskany w 1918 r. przez polski, nieopóźniony przez 20 lat reformy rolnej. Naprzód oczekiwał życiostajni ziemi, która walczy białych

Wojska radzieckie w drodze na Berlin

Twierdza Kistrzyn zdobyta

„SZTANDAR LUDU”

„Sztandar Ludu”, którego pierwszy numer dziś rozpoczyna jest organem Polskiej Partii Robotniczej, tej partii, która wywodzi z ludu i prowadzi lud ten przez walkę i trud w kierunku nowego

13 marca 1945 r. ukazał się pierwszy numer „Sztandaru Ludu”.

ny. Myślisz o narybku dziennikarskim?

— Oczywiście. Doświadczenie uczy, że najbardziej sprawdzają się ci, którzy już w trakcie samych studiów próbują współpracować z redakcją, pisząc nie tylko na tematy środowiskowe. W ten sposób z góry możemy wyłowić talenty.

— Mówiłeś o doświadczeniu. Tak zaczynał swą karierę dziennikarską, właśnie w „Sztandarze” nieodżałowany Alek Sroga. Przy końcu lat czterdziestych pod pseudonimem „Polip” pisywał również zmarły niedawno Jurek Lutowski, że o sobie, skromnie, nie wspomnę...

— No więc widzisz, nic nowego pod słońcem! Ci ludzie, którzy, studiując, współpracują z nami, są często działaczami, nieco otrząskanymi z życiem, nie trzeba więc prowadzić ich za rączką. Co ważniejsze znają oni swoje możliwości i w przeciwieństwie do absolwentów studium dziennikarskiego — którzy często uważają, że już zjedli wszystkie rozumy — trzymają się ziemi. Wśród dziennikarzy są u nas prawnicy, inżynierowie, że już absolwentów polonistyki nie wymienię... Słowem: dyplom to rzecz bardzo cenna, kandydat do pracy w gazecie musi jednak przede wszystkim umieć... pisać.

— Dziennikarze „Sztandaru” umięją?

— Jak oni piszą, o tym świadczy sama gazeta. Wydaje mi się, że mocną stroną „Sztandaru” jest dobra publicystyka, przede wszystkim ekonomiczna, i całkiem niezła publicystyka partyjna. Partią nie zajmujemy się tylko przez pryzmat narad i konferencji,

znam, że „Kamień” również — jest brak reportażu.

— Po części masz rację. Niech to nie zabrzmi jak tłumaczenie, ale jestem czytelnikiem i innych dzienników. W prasie codziennej zauważa się, może nie zmierzch, ale uwiędnięcie reportażu. Nowe prawo prasowe też w kulturowaniu tej dziedziny nie pomaga. Cieszy mnie jednak, że w naszym zespole mamy kilku młodych dziennikarzy, którzy próbują swych sił na tym

podoba. Mianowicie to, że prawie zupełnie poza PAP-em, oczywiście, co zrozumiałe, nie korzysta z materiałów agencji. Komentarze poszczególnych wydarzeń, lepiej czy gorzej, piórami własnych ludzi. Podkreślam to dlatego, że niegdyś inaczej bywało.

— Poszczególne zespoły redakcyjne w kraju okrzepły. Nasz zespół również. Lepiej z góry przygotować tekst na miejscu niż czekać na materiał, który nam ewentualnie spłynie z dalekopisu

wę bytu, poprawę klimatu... Są sprawy, które ludzi szczególnie drażnią. Do nich zaliczyłbym klikowość, bezduszność, biurokracizm, czasami trudno sobie wyobrazić, jakie szkody społeczne może spowodować jeden zadufany w siebie osobnik, który gotów jest postawić się poza prawem.

— Takich plag mamy więcej...
— Tak, ale w przeciwieństwie do lat ubiegłych nie ma dziś tematów tabu. Lukrowanie rzeczywistości to nic in-

Nie ma dziś tematów tabu

ROZMOWA Z REDAKTOREM NACZELNYM TADEUSZEM FITĄ

choć je, oczywiście, relacjonujemy. Głównie pragniemy jednak przedstawić to, co się dzieje na dole, a więc w gminach, w zakładach pracy. Według mnie dziennikarz prasy partyjnej powinien być zarazem działaczem partyjnym. Autorytet partii nie zależy przecież nawet od najbardziej trafnych uchwał, ale od samej działalności.

— Trafne uchwały muszą z tej działalności wypływać...

— Zgoda, ale sama uchwała to jeszcze nie wszystko. Siła partii tkwi w zbiorowej mądrości i odpowiedzialności jej członków.

polu. Sądzę, że będziemy mieli z nich pociechę.

— Aktualność „Sztandaru”, zwłaszcza jeśli chodzi o przedstawianie spraw zagranicznych i krajowych, pozostawia wiele do życzenia...

— Zgadza się. Czytelnika nie powinny interesować nasze kłopoty techniczne. Co jednak robić, kiedy musimy zamykać pierwszą stronę o godzinie 19—20-ej?

— Co robić? Mutować pierwszą stronę na miasto!

— Mamy możliwość mutacji bodaj stu wierszy druku.

— Czyli, cofamy się! Pamiętam czas, kiedy drugą stronę zamykało się po północy! I było wtedy kilka mutacji terenowych, a teraz jest tylko jedna.

— No tak, ale wówczas nie wychodziły trzy tygodniki regionalne. Rzecz w tym, jak sam dobrze wiesz, że lubelska poligrafia, nie tylko zresztą lubelska, znajduje się w oplakany stanie. Aż dziw, że te maszyny rotacyjne jeszcze pracują! Wielu znakomitych twórców sztuki drukarskiej odeszło w emeryturę, niektórzy zmarli, młode zawsze i nie w pełni mogą ich zastąpić. Ale problem jest znacznie szerszy, możemy sobie tylko ponarząkać, to jednak niczego, bez nowych inwestycji, nie zmienią.

— Chciałeś, jeszcze jako dyrektor Lubelskiego Wydawnictwa Prasowego, doprowadzić do wybudowania nowych zakładów graficznych. Makietę ciągle wisi u dyrektora Wróbla...

— Nie tylko to nam w Lublinie nie wyszło...

— Dalej mówimy o niedostatkach. Widzę w „Sztandarze” niedosyt piór z tzw. aktywności pozaredakcyjnej.

— I my to dostrzegamy. Nawijamy kontakty zwłaszcza z młodymi pracownikami nauki. Bez podpisywania, jak to niegdyś bywało, specjalnych porozumień. Załatwiamy to na drodze dwustronnych negocjacji zainteresowanych.

— „Sztandar”, moim zdaniem, nie docenia humoru, satyry. Owszem, są różne wycieczki z prasy zagranicznej, są dowcipy z myszką, ale to już wszystko. A przecież w Lublinie mamy kilku zdolnych rysowników, których prace ukazują się w pismach centralnych.

— Nie wiem, czy lubelscy rysownicy byłiby w stanie współpracować ze „Sztandarem” na stałe. Można zrobić raz, drugi fajferwerk. Przyzwyczajmy do tego czytelnika, a potem dowcip nie wypali. Temat jest jednak do podjęcia.

— Dość tej czarnej farby! Muszę ci powiedzieć, co mi się w „Sztandarze”

lub nie. Zresztą my chyba najlepiej znamy naszych czytelników.

— Z listów?

— Z listów, z różnych sondaży. Zawsze znajduję czas na czytanie listów. Mogę powiedzieć, że wszystkie, dosłownie wszystkie, przechodzą przez moje ręce. Pozwala mi to lepiej kierować piórem, o szerszym zasięgu, jak i bardzo indywidualne. W miarę możliwości staramy się im pomóc. Są też listy, które stanowią inspirację do podjęcia poszczególnych tematów w formie publicystycznej. Tak na przykład trafiliśmy do Bychawy, czego ukoronowaniem był tekst pt. „Czy Bychawą rządzi klika”. Postępujemy konsekwentnie i staramy się nasze prasowe interwencje doprowadzić do końca. Może nie wszystkim to się podoba, niektórzy cenią sobie spokój za wszelką cenę, ale ja uważam, że unikni do niczego dobrego nie prowadzą.

— W tych listach przeważa tematyka...

— Ludzie głównie proszą o interwencje w różnych życiowych sprawach. Poruszają problemy zarówno społeczne, o szerszym zasięgu, jak i bardzo indywidualne. W miarę możliwości staramy się im pomóc. Są też listy, które stanowią inspirację do podjęcia poszczególnych tematów w formie publicystycznej. Tak na przykład trafiliśmy do Bychawy, czego ukoronowaniem był tekst pt. „Czy Bychawą rządzi klika”. Postępujemy konsekwentnie i staramy się nasze prasowe interwencje doprowadzić do końca. Może nie wszystkim to się podoba, niektórzy cenią sobie spokój za wszelką cenę, ale ja uważam, że unikni do niczego dobrego nie prowadzą.

— Klajstrowania w naszej prasie było niegdyś sporo. To jest też temat-rzeka, któremu moglibyśmy poświęcić całą rozmowę. Zostawmy go więc, natomiast, zbliżając się do końca naszego spotkania, chciałem cię jeszcze zapytać, jak sobie wyobrażasz rolę redaktora naczelnego w dzienniku, zwłaszcza w dzienniku partyjnym?

— To pytanie jest trudne, bo można by wygłosić godzinny wykład i pokłócić się nawet...

— Przyszedłem do ciebie z dobrymi zamiarami...

— Zartuję, oczywiście... Redaktor naczelnny w piśmie partyjnym musi przede wszystkim realizować uchwały partii, w konkretnym wypadku — uchwały KC i czterech komitetów wojewódzkich naszego regionu. To narzuca określony styl działania. Realizować tak, aby czytelnik owe uchwały rozumiał, aby je przemyślał, aby z tego wynikało coś pozytywnego. Oczywiście jest to zadanie nie tylko dla mnie, ale dla całego zespołu redakcyjnego, który musi znaleźć odpowiednie formy do przeniesienia tych uchwał w sposób i trafny i strawny dla czytelnika. A poza tym nie możemy pozostawać bierni wobec tego, co się wokół nas dzieje, co przynosi codziennosc. Wspominałem już o tym, że postępujemy konsekwentnie: nasza krytyka ma na celu, powiedziałbym skrótowo, popra-

nego jak jej fałszowanie! Niech to nie zabrzmi jak komplement, ale komitety wojewódzkie naszego regionu bynajmniej nie oczekują tekstów laurkowych. Materiały krytyczne są przez nie szczegółowo analizowane. Zdarza się, że nie mamy racji, wówczas gotowi jesteśmy przyznać się do błędu. Dziennikarz pracuje szybko, może się pomylić, chociaż, po prawdzie, przeważnie ma rację.

— Bronisz dziennikarza? Chcesz być ojcem zespołu?

— Może chrestnym, co? Nie, nie! Chcę być partnerem zespołu. Jako redaktor naczelnny decyduję o profilu pisma, nie mam zamiaru zrezygnować z przyznanych mi uprawnień, ale pragnę uważać zespół za współredagujący i jak przynajmniej na razie staram się robić. Czy mi się to udaje, czy nie, o tym nie mnie sądzić. Poważnie traktuję też rolę kolegium redakcyjnego, które jest ciałem doradczym redaktora naczelnego. Opinie kolegium biorę pod uwagę i najczęściej się z nimi godzę. Najczęściej, choć nie zawsze...

— Mówiłeś, że czytasz wszystkie listy, nadchodzące do redakcji, a jak z innymi tekstami, które znajdują się na łamach gazety?

— Czytam wszystkie teksty publicystyczne. Wszystkie to znaczy również i te, które z takich czy innych względów do druku nie trafiają. Roboty jest naprawdę sporo, podziwiam naczelnnych, którzy znajdują jeszcze czas, aby samemu pisać.

— Aluzja do mnie?

— Przecież ty kierujesz dwutygodnikiem!

— Ale w dziennikach — w „Sztandarze” i „Głosie Szczecińskim” — pracowałem w sumie lat sześćnaście.

— Może dlatego dobrze nam się rozmawia!

— Pozwól, że z okazji 40-lecia prześlę ci i całemu zespołowi „Sztandaru Ludu” serdeczne życzenia od zespołu „Kamenu”. Zanim to i w przyszłości nasze pisma będą jeszcze ze sobą polemizować, nie we wszystkich sprawach musimy być przecież jednomyślni. Chodziłoby mi jednak zawsze o to, aby ewentualne spory dotyczyły meritum zaopiniowania i miłości na celu dobro społeczne.

— To galareta oliwna?

— Nie wiem. Ale wiem na pewno, że nie jest to otwarcie podłóżka z wazelina!

Rozmawiał: M. A. Jaworski



Rys. Józef Tarłowski

— W „Sztandarze” nie wszyscy dziennikarze należą do partii?

— Należy 95 procent. Ale przecież wielu spośród nich dopiero w czasie pracy wstąpiło do partii. W ubiegłym roku szczerze ucieszyła mnie decyzja pięciu koleżanek i kolegów, którzy, na skutek własnych przemyśleń, postanowili zasilić szeregi PZPR. Świadczy to chyba i o postawach, i o twórczym fermentie naszego zespołu.

— Dobrze, powiedzialesz o publicystyce ekonomicznej i partyjnej...

— Muszę jeszcze wspomnieć o publicystyce kulturalnej, która, choć niekiedy kontrowersyjna, stanowi też mocny punkt naszego pisma, służy aktywizacji życia kulturalnego w regionie.

— Nie chciałbym, aby ta rozmowa wypadła zbyt cukierkowo. Moim zdaniem słabą stroną „Sztandaru” — przy-

Wyróżnienie w konkursie „Kamery” na wspomnienia z okazji 40-lecia Polski Ludowej

POLSKI Komitet Wyzwolenia Narodowego w noc sylwestrową z 1944 na 1945 został przemianowany na Rząd Tymczasowy. W Komitecie były resorty z kierownikami na czele, w Rządzie — już ministerstwa.

Ano właśnie. Jako młody, zaledwie 23 letni chłopczyk, zaciągnąłem się do pracy w PKWN. Stałem więc w pierwszej kolejności przed jakimś wysokim rangi dygnitarzem w resortie bezpieczeństwa publicznego (odizolowanego potężną żelazną kratą od reszty pomieszczeń w gmachu przy ul. Spokojnej 4), który zadał mi ze setką pytań. Musiałem, bez zastanawiania się, odpowiedzieć na nie ustnie, a na drugie tyle samo pytań — pisemnie. Po złożeniu tego „egzaminu” z wynikiem korzystnym otrzymałem pozwolenie na własny, jeszcze z czasów okupacji, pistolet, oraz zostałem dobrojony w pepesze, granaty, amunicję i skierowany do... kierownika resortu oświaty, dr. Stanisława Skrzyszewskiego, przed którym odpowiadałem na dalsze, ale już mniej kłopotliwe, pytania. W końcu otrzymałem angaż na piśmie:

Do ob. Ryszarda Wnuka w Lublinie. Mianuję Obywatela z dniem 1 września 1944 r. tymczasowym woźnym-szoferem. Ze chce Obywatel po otrzymaniu niniejszej nominacji zgłosić się w Resorcie Oświaty Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego celem objęcia obowiązków służbowych. Uposażenie określone zostanie w najbliższym czasie po wydaniu przez Polski Komitet Wyzwolenia Narodowego odpowiednich zarządzeń.

W praktyce byłem więc i woźnym i szoferem. Woźnym z miejsca, bo nosiłem różne pisma od resortu do resortu, a szoferem nieco później, bo w tych pierwszych wrześniowych dniach PKWN nie miał samochodów, z wyjątkiem prezydenta KRN, premiera i kierownika resortu bezpieczeństwa publicznego. Pomału jednak z rampy koło cukrowni odbieraliśmy amerykańskie willysy, dodge, chevrolety, studebeckery, motocykle solówki i z przyczepami (harleye). Wszystkie te pojazdy były nowe i na chodzie. Zwłaszcza harleye były silne jak smoki i jednego takiego rozwaliliśmy w drzazgi na płocie cukrowni — tak diabeł zerwał. Pozbierany do kupy przeleżał w kącie garażu, znajdującego się w baraku obok szkoły budownictwa przy ul. Długosza, a po paru miesiącach wyrzucono go na śmietnik.

Po otrzymaniu willysa jeździłem jako osobisty szofer kierownika resortu, a później ministra — Stanisława Skrzyszewskiego. Gdzie? Po szkołach, zaszczepając swoją obecnością wciąż nowe otwarcia, na zebrania, na wiece, do teatrów i gdzie tylko był potrzebny mój minister. Przecinał więc dr Skrzyszewski wstęgi w szkołach powszechnych, średnich, zawodowych i dla dorosłych uczących się w przyspieszonym trybie — mała matura w dwa lata, niejako zgodnie z hasłem wojskowym: „Nie matura lecz chęć szczerą, zrobią z ciebie oficera”. Nadeszły jesień i zima. Trzeba więc było z odciekwanego willysa zrobić limuzynę. I zrobiłem: z dyktu i szkła. Pomałuwało się to na zielono i wyszła limuzyna, że hej! Minister był ogromnie zadowolony, bo nie halo za kołnierze, do wnętrza nie sypało śniegiem.

I tak minął rok 1944. W styczniu 1945 r. ruszyła zimowa ofensywa Armii Czerwonej i Armii Polskiej, przekraczając Wisłę w środkowej i górnej jej części. Z komunikatów frontowych wynikało, że wojska blyskawicznie dotarły i przekroczyły granice Generalnego Gubernatorstwa, wyzwalając m.in. Kraków, Katowice, Częstochowę i inne miasta na zachód od Wisły, zbliżając się do Odry.

Dla Rządu Tymczasowego był to sygnał do rozpoczęcia przygotowań do wyjazdu na Zachód. Powołano grupy operacyjne, na których czele stali pełnomocnicy Rządu, kierowani w różne rejony wyzwolonego kraju. Jednym z nich był mój minister. Kierunek wyjazdu: Kraków. Trwały więc nie kończące się narady, także z moim udziałem. A dopuszczano mnie do tych rozmów, nawet poufnych, za sprawą dwóch młodszych dziewcząt i ich matki, pań E., które z braku mieszkań w Lublinie ulokowały się w jednym małym pokoiku mojego dwulizbowego pomieszczenia przy ul. Lubartow-

zarówka do wysokości połowy kabiny znalazła się pod wodą. Jak się później okazało, stanęła na pierwszej warstwie lodu zamrażającej rzeki. Na drugim brzegu wielka narada: co robić? Ciężarówkę, pał licho, niech tonie. Ale woda, tyle wody! Tego zamarzać nie można! Rada w radę postanowiono odzukać jakąś zmotoryzowaną jednostkę wojskową z czołgami, bo tylko one mogły wyciągnąć na linach nasz „skarby”.

I tak się stało. Znajdująca się pod Ostrowcem Świętokrzyskim jednostka czołgów Armii Czerwonej wydobyla z Wisły ciężarówkę — za równy po-

Pilem „brudzia” z marszałkiem Koniewem

Ryszard Wnuk

skiej 22 m. 13. Do jednej z pań E. „small cholewki” ówczesny sekretarz premiera Osóbki-Morawskiego, mjr W. Onżę wraz z ministrem Skrzyszewskim i jego żoną kilka razy w tygodniu, w różnych porach dnia, wizytował zamieszkałe u mnie towarzystwo. I właśnie dzięki tej zupełnie przypadkowej okoliczności stałem się dodatkowo godnym zaufania „swoim człowiekiem”. Pewnego styczniowego dnia, jeszcze przed ruszeniem ofensywy, zaproponowano mi zaplanowany wcześniej wyjazd do Krakowa i powierzono przygotowanie transportu. Do mojej dyspozycji, już niejako „szefa” transportu, przekazano: trzy willysy, pięć chevroletów, jednego studebeckera i dwa gazy-tankowoz. Willysy z ochroną obsadzone były przez pełnomocników Rządu, wśród których był właśnie minister Skrzyszewski. Chevrolety miały wieźć żywność, pieniądze na wymianę i co tu ukrywać — wódkę, studebecker służył wojsku, stanowiącemu całość ochrony.

Wreszcie ofensywa ruszyła, a już w kilka dni po niej — nasza ekipa. Z informacji uzyskanych w sztabie frontu wynikało, że przez Wisłę można jedynie przejechać pod Annapolem, bo most w Puławach był zniszczony.

Kierujemy się więc na Zachód, w stronę Annapola. Jest druga połowa stycznia, mróz jak diabeł. Przyjeżdżamy do Annapola, a tu się okazuje, że mostu także nie ma. Co robić? Wracać? Nie ma mowy. Trzeba próbować przepłynąć się po lodzie. Ale jak? Gruby lód, czy cienki? Na kąpiel nikt nie ma ochoty. Organizuję grupę kierowców i wędrujemy przez Wisłę piechotą. Lód okazuje się twardy, nie trzeszczy i nie pęka. Decyduję się więc na solowy przejazd willysem. Rozpędu nabieram z brzegu, włączam trzeci bieg, wyciągam do oporu linkę ręcznego gazu, staję na stopniu wozu i jedną ręką trzymając kierownicę mknę ku zachodniemu brzegowi. Udało się! Wracam i po chwili w podobny sposób przejeżdżają pozostałe willysy, prawie wszystkie chevrolety, studebeckery i tankowce.

Ludzie przeszli piechotą... Tylko ta ostatnia chevroleta, najcięższa, bo pod dach załadowana wódka, prowadzona przez starszego już wiekiem cywilnego szofera, nie zastosowała się do wzoru poprzedników, jechała wolno, a kierowca siedział w sfoferce za zamkniętymi drzwiami. W pewnym momencie lód na środku Wisły nie wytrzymał, trzasnął i chevroleta zaczęła się zanurzać w nurtach Wisły. Wystraszony kierowca, przemoczonego do suchej nitki, udało się wyciągnąć, ale cięż-

dział wódki. Oczywiście, przy tej okazji musieliśmy wspólnie wychylić po parę musztardówek.

Po tej przygodzie, już późną nocą dotarliśmy do Ostrowca Świętokrzyskiego. Zakwaterowaliśmy się w salach szkolnych z pozostawionymi przez wojsko siennikami, wypchanymi słomą i siano. Była to nasza pierwsza noc na wyzwolonym skrawku Polski. Rano, prawie o świcie, po zjedzeniu było jakiegoś śniadania z paczek UNRRA, jedliśmy dalej.

Koło południa wjechaliśmy do Krakowa. Oczywiście nikt nas nie witał, bo i kto niby miał? Po krótkim rekonesansie i złożeniu wizyty wojennemu komendantowi miasta oddano do naszej dyspozycji Hotel Francuski, który przez cały okres pobytu ekipy Rządu Tymczasowego w Krakowie był jego rezydencją. Naturalnie, przed budynkiem ustawiono warty, kto chciał wejść do środka, ten musiał mieć przepustkę.

Rozpoczęło się normalne urzędowanie. Jednym z pierwszych działań grupy pełnomocnika Rządu Tymczasowego było rozlepienie wielu przeróżnych afiszów, zawierających nakazy, przykazy, informacje, zarządzenia, a wśród nich i Manifest Lipcowy PKWN. Oczywiście wszystkie te materiały propagandowe zostały do Krakowa przywiezione z Lublina.

Pierwsze dni pod Wawelem były ciężkie, bardzo ciężkie. Wielu mieszkańców Krakowa, przesiąkniętych codziennym oczekiwaniem lubelskiego Rządu Tymczasowego, początkowo z nieufnością odnosiło się do zarządzeń nowej władzy. Miasto jeszcze przez kilka dni nie mogło zrozumieć nowego. Sklepy pozamykane. Komunikacji żadnej, choć przecież wszystkie urzędy komunalne funkcjonowały normalnie, bo Kraków został wzięty szturmem przez wojska I Frontu Białoruskiego, prawie bez żadnych strat, a był w planach hitlerowców przeznaczony do starcia z powierzchnią ziemi.

Wolno, wolniutko, życie jednak zaczęło wracać do miasta. Powołano Radę Miejską Krakowa, na której czele stanął znany działacz ruchu robotniczego, Bolesław Drobner. Wydano dalszych kilka nowych zarządzeń, już drukowanych na miejscu...

Pewnego styczniowego dnia poinformowano nas, że część ekipy pełnomocnika Rządu z ministrem Skrzyszewskim na czele pojedzie do Kreutzburga (obecnie Kluczbork) na spotkanie z marszałkiem Związku Radzieckiego, Iwanem Koniewem, który w imieniu rządu Kraju Rad ma przekazać władzom polskim w administrację wyzwolone tereny. Oczywiście, skoro jedzie mój minister, więc i ja także.

Bój o Kołobrzeg

Ciąg dalszy ze str. I

Teren, z natury trudno dostępny, został tak umocniony i nasycony ogromną ilością uzbrojenia, złączonego w system ogni broni strzeleckich i artyleryjskich. Około 73 tys. żołnierzy i Armii WP w dwutygodniowych walkach rozbiło zasadniczą część zgrupowania niemieckiej GA „Weichsel”, pokonała tę przeszkodę i rozwinęło się w pościgu w stronę Bałtyku.

Przelamanie przez Polaków Wału Pomorskiego wpłynęło decydująco na działania Armii Czerwonej: prawoskrzydłowych oddziałów 2 K Kawalerii Gw. i sąsładów z lewego skrzydła, 47 Armii. Przed tymi wojskami na drodze do Bałtyku pozostała ostatnia na tym odcinku przeszkoda: „Festung Kolberg” — twierdza Kołobrzeg.

Przez cały okres wojny Kołobrzeg pozostawał na uboczu wielkich wydarzeń. Był siedzibą dużego garnizonu i bazą morską „Kriegsmarine”. W drugiej połowie 1944 r., gdy wojska radzieckie i polskie stanęły szerokim frontem nad Wisłą i u granic III Rzeszy, gotowe do zadania decydującego uderzenia, wzrosło znaczenie Kołobrzegu. Port bowiem stanowił ważne ogniwo w systemie linii komunikacyj-

nych na Bałtyku, w związku z odcieciem wojsk GA „Kurlandia”. Dlatego rejon miasta był sposobiony do długotrwałych walk. Miały one związać duże siły radzieckie i polskie, i opóźnić ich przygotowania do natarcia na Berlin. Gen. Winter, zastępca szefa sztabu operacyjnego Wehrmachtu, następująco ocenił sytuację: „...szukając ratunku oraz ogólnych przesłanek do dalszego prowadzenia wojny, należy opóźnić natarcie wojsk radzieckich w kierunku zachodnim, by uzyskać w ten sposób czas na nieodzowne przegrupowanie sił celem wykonania silnego przeciwuderzenia w skrzydło wojsk radzieckich”.

Stąd znaczenie Kołobrzegu, bowiem czynny port umożliwiał przetrwanie świeżych sił, ich koncentrację i wyprowadzenie w zamierzeniu „silnego przeciwuderzenia”. Kiedy Wał Pomorski został przelamany, rejon Kołobrzegu stał się pierwszoplanowym obszarem groźnego nawisłu na skrzydło wojsk radzieckich, uwikłanych nad Odrą w tworzeniu podstawy do natarcia na Berlin.

Prace fortyfikacyjne w Kołobrzegu rozpoczęto w listopadzie 1944 r. Warunki terenowe były z natury bardzo korzystne, bowiem od zachodu i południowego zachodu przedmieścia otaczały podmokłe, miejscami bagniste łąki. Od południa Więceminia i Parsęta,

wpływając do obszaru zwartej zabudowy „rozlewały się” wokół Wyspy Solnej, utworzonej przez Kanał Drzewny i główny nurt Parsęty. Cały zaś obszar przedpola południowo-wschodniego i wschodniego miasta również był bagnisty i podtopiony. Skrajem zabudowy i tych podmokłych terenów rozbudowano obronę w oparciu o potężny rów przeciwpancerny szerokości siedmiu i głębokości dwóch metrów. Była to pierwsza linia, łukiem otaczająca miasto i dochodząca do brzegu morza. Na skrzydłach tego pierścienia, od wschodu, był fort „Waldenfels Schantze”, od zachodu — fort „Kleist Schantze”. Drugi pierścień, podobnie na skrzydłach dochodzący do morza, biegł przez zwartą zabudowę, gdzie kompleksy domów zamieniono na silne węzły oporu. Barykady zamykające ulice, bariery inżynierskie z pół minowych i zasieków, obiekty przygotowane do obrony okrężnej wzdłuż brzegów rzek i kanałów stanowiły system przeszkód w centrum miasta. Trzeci pierścień obejmował rejon portu i dworca kolejowego, gdzie zasadniczą siłą był pociąg pancerny.

Przygotowano do obrony niemal każdy budynek, bowiem w ścianach wykuto otwory strzelnicze, okna umocniono workami z piaskiem, a w narożnych domach urządzono stanowiska niszczycieli czołgów i punkty ogniowe broni maszynowej. Zgromadzono duże zapasy amunicji, żywności i środków do walki w okrażeńiu.

Zalogę twierdzy stanowiło około 12 tys. ludzi z jednostek SS, Wehrmachtu, policji i pododdziałów marynary. Siłą obronną wzmacniali artyleria różnego kalibru, moździerze oraz okręty

— dwa pancerniki: „Lützow” i „Admiral Scheer”, ciężki krążownik „Prinz Eugen”, siedem niszczycieli i kilkanaście małych jednostek, jak ścigacze, trałowce i dozorowce. Cała ta flota bazowała częściowo w porcie, częściowo na redzie, gotowa do wsparcia artyleryjskiego oddziałów lądowych. 28 lutego Hitler ogłosił Kołobrzeg twierdzą, a komendantem mianował płk. Füllriede.

4 marca 45 Bryg. Panc. Gw. przeszła w pościgu 75 km i z marszu uderzyła na południowe krańce miasta. Kilkakrotnie ponownie ataki tego zagony pancernego zalały się i brygada przeszła do blokady twierdzy, oczekując na podejście głównych sił i Armii WP. Wojska w tym czasie pokonywały ostatnie punkty oporu na tzw. pozycji ryglowej Wału Pomorskiego. Pierwsze w Kołobrzegu zjawyły się pulki 6 DP; 7 marca starły się one z zalogą twierdzy i omijając przedni skraj obrony doszły w dniu następnym do morza na zachód od miasta. Zmieniły tu front i zaatakowały Kołobrzeg od zachodu i południowego zachodu. Złuzowały oddziały radzieckie, które wraz z całą 1 Armią Panc. Gw. wykonały zwrot i przeszły do natarcia przez tereny pobraża Bałtyku w kierunku Gdyni. W tym czasie podszły pod Kołobrzeg dalsze jednostki 1 Armii WP, 3 i 4 DP z pozostałą artylerią i wojskami pancernymi.

Rozpoczęło się regularne oblężenie twierdzy. 6 DP atakowała bastiony obronne, licząc od lewego skrzydła: fort „Kleist Schantze”, Koszary „Blaite”, Koszary „Czerwone”, umocnienia nad Kanałem Drzewnym oraz w rejonie Kolegiaty i Ratusza na Starym

Mról jak jasna cholera, drogi zasypane śniegiem, miejscami zaspy, gołoleź, pozrywane mostki i mosty. Co kilka, kilkanaście kilometrów istniała przeprawa. Ich pokonanie ułatwiały specjalne „diablotki”; ot takie stalowe liny, nakręcone na bębny obracające się przy uruchomionym silniku.

Po drodze wstępujemy do Oświęcimia. To, co zobaczyliśmy w obozie, przeszło najtragiczniejsze oczekiwanie. Więźniowie Auschwitz nie opuszczają obozu, choć jest już wyzwolenie od wielu dni. Nie wierzą, że są wolni. Przyglądają się nam z niedowierzaniem — cośmy za jedni?! Nie chcą z nami rozmawiać. Wzywamy iskrówka, kogo się tylko da, by spieszyli do Oświęcimia z żywnością, lekami, odzieżą, opalem. Oczywiście, była to druga grupa więźniów, która o własnych siłach nie mogła opuścić obozu; pierwsza, złożona z ludzi silniejszych, wyszła z drutów tuż po wyzwoleniu. Gdy nadjechały kuchnie polowe z gorącą strawą, ruszyliśmy dalej.

Droga usłana sprzętem wojennym wszelkiej maści i naści. Przed nocą docieramy do Kreutzburga. Tu właśnie w owych styczniowych dniach ofensywy mieścił się sztab marszałka Koniewa. Na rogiach zatrzymuje nas czerwonarmiejski patrol: „Wy kuda?” Krótka rozmowa. Telefon do sztabu frontu i nim skończyliśmy wymianę zdań z dowódcą patrolu, wyrósł przed nami wysłannik marszałka i poprowadził dalej. Przed budynkiem sztabu czekał na nas marszałek w otoczeniu oficerów. Krótkie powitanie i już siedzimy w wygodnych fotelach w ciepłych pokojach, w takich, o jakich marzyliśmy jadąc z Krakowa prawie 200 km. Czekala nas także niezwykle wykwiniona, jak na warunki wojenne, kolacja — suto zakrapiana różnymi gatunkami wódek i win. Po wypiciu już „entej” setki, marszałek Koniew zaproponował najwykłępszego w życiu „brudzia”. No i spełnił go do ostatniego... szofera, strzelając pocelunkami na prawo i lewo. „ot, ja marszał Iwan, a ty woditiel maszyny, fyszard — da? Da, marszałku”. A następnego dnia wszyscy, którzy wieczorem nie wytrzymali tempa picia i wcześniej padli, ogromnie zazdrościli...

Rankiem po śniadaniu odbyły się oficjalne rozmowy i podpisanie dokumentów przekazujących wyzwolone ziemie w administrację władz polskich. Przy tej okazji przekonałem się, jak działa armijna służba łączności. Oto w ciągu dosłownie kilkunastu sekund Koniew połączył się ze Stalinem, informując go o naszej wizycie. Po krótkiej rozmowie z Moskwą marszałek przekazał od Stalina, że akceptuje on podpisane dokumenty. Po tych oficjalnych Koniew pozwolił położyć i pomyszkować po całkowicie wyludnionym mieście, a na pamiątkę pobytu sprezentował po jednym osobowym samochodzie. Tylko co zrobić z takimi podarunkami? Kierowców było trzech, pełnomocników Rządu także trzech, osób towarzyszących — sześć. I co z tego, skoro prócz zawodowych kierowców od willysów prowadzić samochody potrafiły jeszcze cztery osoby? Co robić? Zorganizowaliśmy błyskawiczny kurs jazdy na hoku, z niezłym nawet skutkiem, ale tylko cztery z dziewięciu przyjeżdżających przez nas prezentów udało się doprowadzić do Krakowa. Pozostałe jakoś się porozbiły o siebie. Dowiedzieliśmy do celu dwa mercedesy, jednego waderera i jednego adera-juniora (ten ostatni był mój). Do Lublina, niestety, nie dotarł żaden — porozwalały się, nie same oczywiście, w Krakowie.

Na przełomie stycznia i lutego (dokładnej daty nie pamiętam) ogłoszono „Dni wyzwolenia Krakowa”. Na uroczystość tę przybyli m.in. prezydent Krajowej Rady Narodowej Bolesław Bierut, pełnomocnik Rządu Radzieckiego przy Rządzie Tymczasowym, generał Nikołaj Bułganin, a także inne oso-

biście. Po wiecu i defiladzie wojsk polskich oraz czerwonarmistów, wieczorem w Teatrze im. Słowackiego odbyła się uroczysta inauguracja życia artystycznego Krakowa — wystawieniem „Wesela”. Później w Hotelu Francuskim urządzono uroczysty bankiet. Po kilku godzinach jego trwania zabrakło wódki. Wezwano więc „urzędujący” a właściwie „bankietujący” drugi garnitur, czyli chłopców z ochrony i szoferów, wydając nam krótką dyspozycję: „macie zdobyć wódkę”. Skąd? Nie nasze, ale wasze dzieło. Rozjechaliśmy się po mieście — z wiadomym rezultatem. Nie zdobyliśmy nawet tych kilku litrów, jakie sobie życzyli ówczesni mężowie stanu, ale choćby i nędznej „ęwiartki”. Co robić? Wzięliśmy w obroty portiera z Hotelu Francuskiego, który pracował w nim przez całą okupację. W pewnym momencie „pek!” i powiedział nam, że hitlerowcy przed ucieczką z Krakowa coś zamurowali w piwnicy. Dopadliśmy więc tego zamurowanego otworu, rozebraliśmy w tri miga i... odkryliśmy potężny magazyn wódek, ale tylko jednego gatunku — był to likier pomarańczowy! Radocha, że hej! Kilka pojemników powędrowało na stoły pierwszego garnituru, a nieco więcej wyciągnęliśmy dla siebie. Oczywiście w tym drugim garniturze „zyciorysy” się szybko pourwały, chociaż i w pierwszym też lepiej nie było. Takim potwornym święństwem była ta pomarańczowa słodycz.

Przed bankietem doszło do niezwykle tragicznego wydarzenia: oto w pewnym momencie do gabinetu, w którym pracował i mieszkał prezydent Bierut, usiłował wtargnąć jakiś człowiek w mundurze lejtnanta Armii Czerwonej. Ponieważ jego wizyta nie była zapowiedziana, więc dyżurny w sekretariacie podporucznik z ochrony prezydenta fizycznie zagroził drogę do sąsiedniego pokoju. Došlo do szarpaniny i głośnych rozmów. Usłyszał to prezydent i wyszedł ze swojego pokoju. Wówczas ów człowiek wyszarpnął zza pazuchy pistolet i oddał kilka strzałów w kierunku prezydenta. Pierwsze chybiły, ale następnie ugodziły w pierś podporucznika z ochrony, który własnym ciałem zasłonił Bieruta. Zamachowiec bez żadnych trudności wyszedł z hotelu, ale po kilkunastu metrach został ujęty. Okazał się nim przebrany członek bandy UPA. Postrzelony podporucznik żył, a później wręczono mu wysokie odznaczenie wojskowe. Cała sprawa została całkowicie zatuszowana i nigdy nie przeniknęła do publicznej wiadomości.

Kolejne dni w Krakowie to jedno nie kończące się pasmo spotkań, narad, zebrań, zwiedzanie bytków uratowanych przed zniszczeniem przez hitlerowskie hordy, bilansowanie strat wywiezionych przez okupanta dzieł sztuki. Niemalże codzienne wyjazdy i wiece z mieszkańcami miast województwa krakowskiego, m.in. w Nowym Targu, w Zakopanem. W stolicy sportów zimowych szczególnie dużo mieszkało warszawiaków. W ogóle na Podhalu prawie w każdej góralskiej chacie mieszkała jedna warszawska rodzina. I właśnie podczas jednego takiego wypadu do Zakopanem byliśmy zapraszeni do różnych domów na całkiem prywatne rozmowy. W niektórych podejmowano nas poczęstunkami, zakrapianymi bimbrem. W czasie jednej z kolacji, po kilku głębszych, zaśpiewałem „Piosenkę o mojej Warszawie”, a całe liczne audytorium zaczęło pochlipywać, po chwili — normalnie płakać, szlochać, zawodzić. Okazało się, że byłem pierwszym w Zakopanem wykonawcą tej piosenki.

Wieść o moim występie rozniosła się lotem błyskawicy po całym mieście, a co się później działo, nie sposób opisać! Słowem, „Piosenkę o mojej Warszawie” wykonywałem w Zakopanem

kilkadziesiąt razy, raz nawet na estradzie jakiegoś teatryku i już przy akompaniamencie pianina. Pewien muzyk w mig opanował melodię, a następnego dnia śpiewała ją cała Zakopane, bo słowa dyktowałem ludziom po występach. To śpiewanie „o mojej Warszawie” przełamało w pewnym sensie dystans, jaki dzielił nas, jako przedstawicieli „czerwonej władzy”, od zakopiańskich warszawiaków, ciut zgrzywających się na białą burżuazję. Ludzie chętniej teraz z nami rozmawiali, dzielili się swoimi uwagami i spostrzeżeniami o działalności nowej władzy. Uwierzyli, że Bolesław Bierut jest autentycznym Bolesławem Bierutem, urodzonym i wychowanym w Lublinie, a nie żadnym Biernackim-Rutkowskim, jak głosiła hitlerowska propaganda. Uwierzyli także w wiele innych przekazywanych prawd o lubelskim rządzie, o Manifestie PKWN, o nowej Polsce.

Po powrocie do Lublina z ekipą pełnomocnika rządu jeździłem dalej ze swoim ministrem wszędzie, gdzie cokolwiek działo się z oświatą. Tu otwierano nową szkołę powszechną, tu gimnazjum dla dorosłych, tu znowu zaproszono na próbę generalną w teatrze i tak „w koło Macieju”. Pewnego dnia minister kazał zawieźć się do teatru lubelskiego na premierę — chyba „Wesela”. Dr Skrzyszewski chciał ją koniecznie obejrzeć, by móc porównać z krakowską premierą dramatu. No to fajnie: minister do teatru, a my z chłopcami z Urzędu „na półryw”. Nie można narzekać, poderwaaliśmy i oto mkniemy na gaz do dechy Alejami Raclawickimi w kierunku rogatki warszawskiej. Przed nami tankietka, która zaczyna zjeżdżać na prawą stronę, co oznaczałoby, że daje nam pierwszeństwo przejazdu. A figo, bo gdy prowadzony przeze mnie willys znalazł się na równi z tankietką, u zbiegu Al. Raclawickich z ul. Uniwersytecką wóz wojskowy gwałtownie skręcił w lewo, uderzając w prawy bok willysa. Samochód przekosił kilkadziesiąt razy i oparł się o betonowy słup ogłoszeniowy, ulegając całkowitemu rozbiiciu. Wojskowe karetki przewiozły wszystkich, w głębokim szoku, do szpitala siostr „Szarytek” przy ul. Staszica, z którego po oprzytomieniu wszyscy... puciekali. Szczęściem, po takiej tragicznej kraksie nic nikomu się nie stało. Po ministra pojechaliśmy innym willysem, a ten rozbity poszedł na złom. Drugiego, bo liczba wozów musiała się zgadzać z inventarzem, „zorganizowaliśmy” z ul. Czerwnej, przerobili, przemalowali i nikt na zamianie się nie poznał. Wkrótce tego willysa zamieniłem na limuzynę „M-20” i mój minister jako pierwszy w rządzie miał prawdziwy samochód, a nie jakiegoś tam wojskowego „jeepa”. Pozazdrościli nam tego „M-20” wyżsi urzędem dostojnicy, no i musiałem zamienić limuzynę znowu na willysa, tyle że nowego, „M-20” jeździł odtąd prezydent KRN.

Moja przygoda wreszcie się skończyła, bo skończyć się musiała. W lutym 1945 r. Rząd Tymczasowy przeniósł się z Lublina do Warszawy. Oczywiście, pojechałem ze swoim ministrem do „nowej” stolicy Polski. Wszystkie rządowe urzędy i ministerstwa znalazły lokum w potężnym ocalałym gmachu przy ul. Wileńskiej. Członkowie Rządu i personel techniczny, gdzie kto mógł, przeważnie na dalekich peryferiach Pragi, bo tam ocalało trochę czynszowych kamienic i porzuconych domków jednorodzinnych. Wyjątkiem były bardziej luksusowe wille. Jeździłem więc jeszcze z ministrem po zrujnowanej Warszawie, do czasu mianowania dr. Stanisława Skrzyszewskiego ambasadorem Polski we Francji. Oczywiście, miałem również jechać do Paryża ze swoim szefem, ale w ostatniej chwili się rozmyśliłem, bo mi żeniaczka była w głowie.

Mój minister pojechał do Paryża, a ja do Lublina.

Mieście. W prawo od jej pułków rozwinęły się w natarciu jednostki 3 DP: 7 p. piech. walczył o węzeł obronny wokół kościoła Św. Jerzego i południowo-wschodniej zabudowy Starego Miasta, a 9 p. piech. bił się o Przedmieście Lęborskie i umocniony rejon gazowni. W prawo od toru kolejowego, na wschodnich krańcach miasta, walczyła 4 DP, nacierając na parowozownię, plac wyścigów konnych i fabrykę. Wzdłuż brzegu morskiego rozwinęła natarcie 272 DP Armii Czerwonej, uderzając na fort „Waldenfels Schantze”.

W ciągu trzech dni uporeczywych walk wszystkie dywizje przełamały zewnętrzny pierścień obrony i wdarły się do zwartej zabudowy miasta, zdobywając poszczególne umocnione obiekty.

12 marca wprowadzono do walki inne jednostki 1 Armii WP, 4 p. czołgów ciężkich oraz 8 i 9 Bat. Saperów z 1 Bryg. Sap., 7 Zmot. Bat. Saperów i 2 Bat. Miotaczy Ognia. Szczególną rolę odegrała ta ostatnia jednostka, wspierająca walki 7 p. piech., która częścią sił zbudowała (wkopane) fugasowe miotacze ognia, niezwykle skutecznie rozbijające kontratak Niemców, zaś plutonem ręcznych miotaczy ognia uzupełniła grupy szturmowe piechoty. W czasie następnego etapu walk saperzy zbudowali osiem mostów o łącznej długości 258 m i 18 km dróg „na przełaj” dla czołgów i artylerii oraz rozminowali kilkanaście pół minowych, zwaly gruzów i odcinki ulic.

Walki były niezwykle krwawe. Toczone w wąskich uliczkach, wśród ufortyfikowanych domów — były to głównie walki wręcz, przy utrudnio-

nym wsparciu artylerii i czołgów. Wśród szalejących pożarów i zmasowanego ognia wszystkich rodzajów broni żołnierze krok za krokiem łamali z niebyszym męstwem zdeterminowany opór załogi twierdzy. Wiele epizodów tych walk przeszło do bojowej tradycji 3, 4 i 6 DP i stało się kartami chwaly żołnierskiej, wiele epizodów znalazło miejsce w historii sztuki wojennej, jak budowa przepraw i forsowanie przeszkód wodnych, działania fugasowych miotaczy ognia, czy zniszczenie ogniem salwami „na wprost” pociągu pancernego przez baterie 6 p. art. lekkiej.

Kiedy walczące oddziały wdarły się już do drugiej pozycji obronnej twierdzy, 14 marca o godz. 14.00 przerwało działania, wzywając załogę do kapitulacji. Generał S. Poplawski, dowódca 1 Armii WP, podjął tę decyzję z pobudek humanitarnych, bowiem wewnątrz miasta było jeszcze kilkanaście tysięcy ludności cywilnej, zaś walki niejednokrotnie przybierały charakter „na wyniszczenie”, w których zabudowa waliła się w gruzy, grzebiąc w ruinach dziesiątki ludzi. Plk Füllriede bezwzględnie jednak wykonywał rozkaz Hitlera o „walce do końca” i odrzucił propozycję kapitulacji.

Od nowa rozgorzała mordercza bitwa. Padła reduta Koszar „Czerwonnych”, 14 p. piech. (6 DP) zdobył Wypę Solną, sforsował Parsętę i nacierał wzdłuż rzeki w stronę portu, 16 p. piech. z lewego skrzydła zdobył fort „Kleist Schantze”. W centrum natarcia 7 i 9 p. piech. (3 DP) przebiły się przez ruiny Starego Miasta i dworca, zaś z prawego ich skrzydła 10, 11 i 12 p. piech. (4 DP) przełamały opór w

dzielnicy willowej. Tu w nadmorskiej części zabudowy miasta były się wspólnie z Polakami oddziały 1061 i 1063 p. piech. 272 DP Armii Czerwonej.

W tej fazie walk udało się Niemcom przerzucić drogą morską, pod osłoną nocy i mgły, świeże siły ze Swinoujścia i desant wzmacnił załogę twierdzy, przechodząc do kontrataków na pozycje 11 i 7 p. piech. i Niemcy odzyskali rejon dworca kolejowego. Bardzo brakowało w tym czasie wsparcia lotniczego (skutek gęstej mgły). W ciężkich walkach 16 marca kontratak niemieckie zostały załamane w ogniu czołgów wprowadzonych do walk na tym odcinku.

Rozpoczęła się ostatnia faza bitwy. W nocy z 17 na 18 marca przegrupowano siły. Do walki weszły jeszcze „katiusze”. Nawała ognia poprzeczyla generalny szturm na obiekty portu. Piechota poszła do natarcia, wspierana ogniem bezpośrednim dział i czołgów. Część artylerii przeniosła ogień na redeg portu, rozpedzając okręty i barki, na których pospiesznie ewakuowano resztki załogi twierdzy.

Nad ranem 18 marca wdarły się do portu oddziały 16 p. piech. (6 DP) oraz 7 p. piech. (3 DP). Te ostatnie wyszły na brzeg morza po wschodniej stronie falochronu. Na strzaskanej pociskami wieży latarni morskiej podniesiono flagę biało-czerwoną. Znak zwycięstwa. O godz. 5.30 całe miasto było wolne. Wygasaly walki i pożary.

W dziesięciodniowych walkach poległo 1013 żołnierzy 1 Armii WP, 2652 było rannych, zaś 176 uznano za zaginionych. W dowód zasług żołnierza nazwę „Pomorskich” otrzymały: 3 DP im. R. Traugutta, 4 DP im. J. Kiliń-

skiego, 6 DP oraz 2 Bryg. Art. Haubic, 3 Bryg. Art. Ciężkiej, 1 Sam. Pułk Moździerzy, 4 Mieszana Dywizja Lotnicza, 4 Sam. Pułk Czołgów Ciężkich i 2 Sam. Zmot. Bat. Miotaczy Ognia. Za bohaterstwo w walkach o miasto i port 13 jednostek 1 Armii WP otrzymało miano „Kolobrzekich”, a sztabary 5 i 7 p. piech. (3 DP), 12 p. piech. (4 DP) i 16 p. piech. (6 DP) odznaczono orderem Krzyża „Wirtuti Militari” V kl.

Bój o Kolobrzeg, zakończony uroczystym aktem zaślubin z morzem, przeszedł do historii polskiej wojny narodowowyzwoleńczej jako jedna z najbardziej krwawych i pełnych żołnierskiej chwaly kart dziejów najnowszych. Wyzwolenie tego miasta nad Bałtykiem zapoczątkowało powrót na piastowskie rubieże.

Bój o Kolobrzeg był fragmentem „operacji pomorskiej” wojsk 1 i 2 Frontu Białoruskiego, w której wyniku wyzwolone zostały ziemie pomiędzy dolną Wisłą i dolną Odrą. W ostatniej fazie operacji, pomiędzy 14 a 30 marca 1945 r., jednostki 1 Armii WP współdziałając z wojskami radzieckimi wyzwoliły Gdynię (28 marca) i Gdańsk (30 marca). Tu na murach Dworu Artusa żołnierze 1 Bryg. Panc. im. Bohaterów Westerplatte zatknęli flagę biało-czerwoną, na znak zwycięstwa i powrotu Gdańska do Macierzy.

Mieczysław Wieliczko

Gdzie są poetki z tamtych lat?

Ciąg dalszy ze str. 1

ta poetka, sceptyczna ironistka, demonstrowająca dystans do życia i do tego, co pisze? Życie sobie, a poezja sobie, poezja będąca tylko imitacją życia, piękną iluzją, niepewnym mostem... — zdaje się mówić Irena Koziejowska.

Śluch poetki zaginął również o dzierzącej II miejsce w „Almanachu LKL”, wspólnie z Antonim Masłowieckim (10 tekstów), **Danucie Konarzewskiej** autorce poezji estetycznych prozaimów. Poetka w swoich próbach poszukiwania miejsca poezji w najprostszym codziennym pozostawała pod urokiem piękna przyrody, wzruszającej, kształtującej nastroje, inspirującej też do refleksji ogólniejszej aż po wyrzuty sumienia człowieka-barbarzyńcy, brutalnie deformującego świat. Powiedzieć można o tych wierszach: zbyt młodzieńcze, nieco naiwne, zielone. Ale powiedzieć można również: świeże, jeszcze nie zatrute mędrca szkieletem i okiem, takie swoje, własne, takie „babskie” w dobrym znaczeniu tego określenia. A „Róża” to chyba już coś więcej, niż wdzięczny wpis do pamiętnika:

„Wiesz, kiedy róże są najpiękniejsze? Wczoraj.
Wiesz, jakie róże najmocniej pachną? Wędrujące.
A moje życie ściegło w południe. Nie w porę.
Została tylko lodyga róży. I kolce”.

A nam został tylko żal, że nie mamy okazji obserwować rozwoju tej poezji, która obiecywała wiele, a zwiędła na starcie.

Na trzecim miejscu z dziewięcioma wierszami uplasowała się w tym almanachu (ex aequo z nieodwołanej-poetyckiej — pamięci Rochem Sęczawą, autorem znakomitego — i jedyne jak dotąd, niestety — tomu „Uśpienie rąk”) **Maria Ballod**. Ciekawa to poezja, w ogólnym kształcie opisowa, w konkluzji refleksyjna, wyciszona, ale niepokojąca, poezja filozoficznego niepokoju. Jak żyć tym, co jest miłością, czy można się tego nauczyć, czy to się dziedziczy? — pyta autorka, transformując doświadczenia i obserwacje w bardzo współczesną metaforę, przejmującym szeptem skarżącą się na dewaluację zasad etycznych. Maria Ballod doszła dalej niż jej poprzedniczki, do dwóch interesujących tomów: „Tworzenie ptaków” (1967) i „Odmienianie czasu” (1971), opublikowanych przez Wydawnictwo Lubelskie. Doszła do osiągnięć potwierdzających pokładane w niej nadzieje środowiska i... wyjechała do Warszawy. A tam — umilkła jako poetka. Chcielibyśmy wiedzieć, pełni goręczy: jaką drogą poszła dalej Maria Ballod, gdzie jej poezja?

Stawkę liderów „Almanachu LKL” uzupełniają sześcioma wierszami **Lidia**

Kośmińska, autorka wierszy obficie opisowych, nasączonych manierą młodopolską może nawet, co wcale nie musi być akurat zarzutem, aczkolwiek często bywa. Czujemy w tych wierszach typową kobietę, operującą trochę zbyt jednoznacznie jak na czasy dzisiejsze metaforą, pozwalającą sobie na luksus braku syntezy, skrótu, szczerą jednak w swoim tradycyjnym wrzuceniu liryką uczuć najbardziej osobistych. Lidia Kośmińska utrwaliła zapowiedzi poetki talentu w tomiku „Skrzydłem jaskółki”, opublikowanym w bibliofilskiej szacie typograficznej w 1975 roku, a zawierającym ponad 50 wierszy dedykowanych synowi. I ona nie dała nam szansy na ciąg dalszy.

Trzy wiersze **Reginy Możdżeńkiej**, zawarte w omawianym almanachu, to za mało, by powiedzieć coś więcej o ich autorce ponad to, iż nie zawsze potrafiła uporać się z bogactwem wrażeń i obrazów podczas przetwarzania ich w wiersz. A wrażliwość — jak sądzę — ponad przeciętną miarę. Szczęście więc, iż — jak wiadomo — spełniona na nie mniej wdzięcznym uroczysku teatru poezji...

I wreszcie — **Maria Józefacka**. Jedyna z poetek tegoż „Almanachu LKL”, której wiersze (4) nie pozostały tylko zapowiedzią zastygłą w czasie. Jedyne ona osiągnęła dorobek god-

ny jej talentu i stała się pisarką uznaną w kraju, autorką pięciu tomów wierszy oraz pięciu powieści, książek ocenionych, wzruszających i zmuszających do filozoficzno-moralnej refleksji. I tu nie mogą oprzeć się wnioski, wysnutemu na początku tych rozważań, przy całym szacunku dla talentu i osobowości autorki: czy tak okazał się dorobek poetki-prozatorki to luksus stanu wolnego? Oczekujemy na dalsze książki Marii Józefackiej, choć z odrobiną niepokoju, jako że pisarka w 1981 roku wyemigrowała do oddziału warszawskiego ZLP. Tu optymistyczna dygresja: Lublin nie tylko nie traci, ale i zyskuje znane pisarki. W tymże 1981 roku zasiliła Lubelski Oddział ZLP **Elżbieta Cichła-Czarniawska**, autorka „ośmiu tomów wierszy i trzech powieści. Jedyna chyba — realnie rzecz oceniając — która potrafiłaby godzić obowiązki rodzinne z pielęgnacją muzy...

Idźmy dalej w poetki-kobiecej lamentacji. Ze wspomnianym już zbiorowym tomie poezji „Prom” debiutowały: **Jadwiga Białduń**, **Violetta Szorc** i **Nelly Zachajkiewicz**. **Jadwiga Białduń** przemknęła jak błyskotliwy meteor przez poetki horyzont Lubelski, czynny przełomu lat 50-tych i 60-tych. Porównywano nawet jej twórczość z poezją **Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej**, ale cóż z tego... Wiersze jej zaczęły się i skończyły na owym „Promie”. O **Nelly Zachajkiewicz** także nie nowego powiedzieć nie można. A **Violetta Szorc**? Ach, było to cudowne dziecko lubelskiej poezji! Debiutowała w prasie jako 15-latką, podobnie jak przed 30 laty jej matka, znana lubelska poetka **Helena Platta-Szorc**, autorka siedmiu tomów wierszy, której przytulne mieszkanie na staromiejskiej ul. Olejnej było życzliwą przystanią dla młodych twórców. **Violetta** opublikowała w Wyd. Lubelskim tomik „Siedmiokrójczy” (1966) przyjęty przez krytykę jako dojrzałe objawienie zaskakujące nad wiek dorosłym spojrzeniem poetki. Życzliwie oceniana

Urszula Jaros

NIEWYSLUCHANE

na moje słowa ty bandaż szycujesz
zastanawiając się czy go nie zamienić na trumnę

chcesz słyszeć szum wód łagodnych
ciepły szept ptaków nie czujesz
że z ciężkiej wyszłam matni
że jeszcze nie umiem
żyć w świecie który dajesz
więcej obiecujesz

tam strach wypowiedziany to na głowę wyrok
zwierzę które się boi idzie prosto w sidła
dlatego ocalałam bo w sobie ukryłam
głos wołania o pomoc
i nikt go nie wydał

na moje słowa ty bandaż szycujesz
nie chcesz może naprawdę nie rozumiesz

* * *

ja tak bym chciała być dla ciebie inna
twoją widzieć w ciągłym zachwyceniu
i chciałabym twoje istnienie
tak mocno cenić że za żadną cenę
nie dałabym ci odejść w inną stronę

ja tak bym chciała
być piękna dla ciebie
i taka czysta jak poranka oddech
jak listek który świeżo woda zmyła

ja tak bym chciała
kiedy trwam w czujności
śledzę spojrzenie obmacuję słowa
zabijam myśli że nie jestem godna
kiedy odchodzisz kładziesz dłoń na klamce
po raz ostatni drzwol moich dotykasz

kamena

Jadwiga Jezyna

SPACER

tyle dni nas rozłączyło...
dzisiaj rano odbyłam
z tobą spacer
miasto było jeszcze puste
jakby wymarłe



Rys. Edward Inglet

zagłędaliśmy w witryny
sklepów
kłanialiśmy się
manekinom
gdzieś brzęczały
butelki z mlekiem...

gdy zaczynam być sama
rozpaczam z tobą
spacer po mieście
pustym jakby wymarłym

kiedy mówisz że kochasz
myślę kto jutro

zbudzi mnie
zamiast budzika
o szóstej rano
żeby zdążyć
kto zapotuje herbatę
bo dobrze jest wypić
coś ciepłego
przed wyjściem
myślę kto zrobi zakupy
jeżeli nie przyniosę
wypchanych siatek
kto wytrze kurze
jeśli nie wstanę
z łóżka
kiedy mówisz że kochasz
myślę kto odprawi mnie
do stacji: koniec

Zofia Nowacka-Wilczek

KOBIETA

wypchnięta przez źródła
w koryto przykazań
choć skuta po rozkosz
wzbiera swoją wiosną
by wystąpić z brzegów
wypukłością łona
i wyłobić w czasie
dopływy przetrwania

upływa czekaniem
po dorzecza oczu
przenika erozją
przez przekorę świata
i odmierza siebie
na klepsydrze ujęcia
aby wiedzieć który
przybór zapamiętał
wsączyć ją w niepamięć

SYMBIOZA

na odniesienie białizny do magla
w zasięgu tęsknoty
na odległość skorał

przez Józefa Czechowicza i Juliana Tuwima twórczość Heleny Platty, nie do końca w pełni, znalazła wreszcie rodzinną kompensację i, rodzina poetycko-muzycznych talentów przeniosła się do Warszawy. Był rok 1967. A w Warszawie? W Warszawie? Jak zwykle — poetyckie milczenie, anonimowa dżungla...

Dalej „Almanach Lubelskiego Ośrodka KKMP” (Lublin 1974) oraz podobny almanach KKMP „Spotkania” (Warszawa 1976) przynoszą pięć nowych nazwisk. Anna Buczek-Wolska, Stanisława Buszta i Halina Górka, to z różnych względów ciekawe propozycje poetyckie, aczkolwiek wymazane z mapy środowiska brakiem publikacyjnych potwierdzeń, zamarłe na etapie opisowo-estetyczno-kobiecych obrazków, ładnych i lirycznych, smutnych rozstaniami, w sumie — sprawnych warsztatowo, obiecujących — być może — więcej.

Natomiast Anna Waszczuk, a zwłaszcza Krystyna Makuła-Trochimiuk, zasługują na chwilę zadumy. Anna Waszczuk jest bardzo współczesna tak w formie obrazowania, jak i w kontemplowaniu treści, konkretna i drapieżna niemal, bardziej reportażowa niż opisowa na tradycyjny poetycki sposób. Młodość wykorzystuje jako pretekst do kontestacji, szuka miejsca dla siebie. W tego typu liryce porusza się z dużą sprawnością. Wiersze niepokoją, szokują wręcz odważnymi skojarzeniami. Poetka nie pieści słów kobiecą ręką, ona szorstko każe im spełniać swoją powinność. Jej credo poetyckie brzmiało — atak najlepszą obroną. Ciekawe, jakim tonem brzmia jej poetyckie propozycje teraz po książkowym debiucie w serii Lubelskich Prezentacji Poetyckich („Studnia proroków”, 1978), po wyjściu za mąż, po siedmiu latach milczenia?

Krystyna Makuła-Trochimiuk z kolei jest symbolem kobiecości, zwłaszcza poetyckiej, choć nie stroni od prawdy i form ogólniejszych, z dystansem należnym rzeczywistości. O dziwo, dom

i rodzina nie przekreśliły jej kariery poetyckiej. Wręcz przeciwnie. Poezja bardzo ciepła, wręcz intymna, bliska nam wszystkim. Widać wiarę w siłę twórczą miłości, w twórczy żar domowego ogniska. Na świat patrzy przez pryzmat swojej rodziny, męża i syna, malutkich trybików w wielkim kole, które się kręci dzięki niemu właśnie. Nie bulwersuje, nie drażni, ale poraża. Paraliżuje naszą wrażliwość swoją kobiecą delikatnością, cichą siłą domowego ciepła, mądrości wreszcie. Jej poezja to taki prywatny sposób na życie. Czy skuteczny? Chyba tak, skoro lepiej czując się w roli żony i matki niż w masce trybuna naszych sumień, jednak pisze nadal, jednak publikuje, jednak wrzasa. Szkoda tylko, że po debiutanckiej witrynie „Po tym wszystkim soczystym” (Warszawa 1972) i tomie „Gorący uczynek” (Lublin 1975), tak długo musimy czekać na następną książkę.

Znaczącym etapem rozwoju poezji w Lublinie stała się obszerna antologia „Przebudzenie” (Wyd. Lubelskie 1976), w której obok utworów Anny Waszczuk i Krystyny Makuły-Trochimiuk znalazły się wiersze młodzieńckiej lubelskiej licealistki, Ewy Kwiatkowskiej. Jak ongiś Violetta Szorc tak wówczas Ewa Kwiatkowska stała się poetyckim objawieniem, zadziwiając dojrzałym kontemplowaniem rzeczywistości, pr. etrawionej w śmiałość i oryginalną metaforę. Licealistka rzecze: „może kiedyś przyjdą po mnie / i każą oddychać swoim ciałem / może powiesz się na haku mojej miłości / i oskarżoną będę tylko ja” / „To już było?”.

Wreszcie ostatni z almanachów, zwiastujących młode nadzieje na poezję prawdziwą: „Gdzie jablonie słodkopienne” (KKMP Lublin, 1980), w którym — obok Krystyny Makuły-Trochimiuk i Anny Waszczuk-Listowskiej — w niebagatelnym gronie 43 młodych poetów widnieją nazwiska Wisławy Siękańskiej, Anny Lyczewskiej i Urszuli Jaros. Ta pierwsza to dopiero me-

lodia przyszłości, a debiut w antologii poezji miłosnej winien być szczęśliwym prognostykiem. Anna Lyczewska utkwiała w pamięci czytelników jako Anna Borkowska debiutanckim tomikiem „Poczekam na siebie” (Warszawa 1979), wydanym pod panieńskim nazwiskiem w V serii Arkuszy Autorskich „Nowego Medyka” i „ITD”. Sprawny warsztat lirycznej poezji zapowiada dalsze sukcesy, potwierdzone aktualną informacją wydawniczą.

Dla uzyskania pełnego obrazu poetyckiej Lubelszczyzny należy odnotować dalsze dwie „uciekiniarki”: Marię Szczepowską (tomik „Tarnina”, Wyd. Lub. 1980), która wyemigrowała do Warszawy w 1959 roku, oraz Annę Markową (wydała w Lublinie „Czas bez tytułu”, 1957), mieszkankę Opola, a następnie Białegostoku. Zauważyć także warto dwie lubelskie poetki niesłyszące: Barbarę Choynowską-Janaszek i Marię Piwowarską, które uporczywie walce z kalectwem potrafiły nadać wrażliwy kształt poetycki w zbiorowym tomiku „Wyjście z ciszy”, opublikowanym w Warszawie w roku 1975... Jedyną w swoim — satyrycznym — rodzaju jest bogata twórczość Mirosławy Knorr, autorki pięciu zbiorów, chłostających pokrzywą satyry nasze utłomności serdecznie kpiących z naszych przywar. Filarem poetyckiego horyzontu jest Matylda Welna, autorka czterech tomów prozy oraz czterech znaczących zbiorów wierszy, z których ostatni („Ojczyzna”, LSW 1984) okazał się prawdziwą rewelacją, pozabawioną, niestety, należnej reklamy prasowej, co jest dla lubelskich osiągnięć znamienne, ale to już zupełnie inna sprawa...

Powie ktoś: dlaczego jest tak źle z poezją lublinianek, skoro ponoć jest z nią tak dobrze? Otóż twierdzą, że jest z nią coraz lepiej! Nastąpił optymistyczny przełom, za sprawą dwóch wartościowych jaskółek tej literackiej wiosny: Edy Ostrowskiej i Urszuli Jaros. Eda Ostrowska wdarła się przebo-

jem na literacki panteon, uzyskując w wieku 25 lat tytuł członka ZLP, a zatem zawodowe ostrogi, po opublikowaniu dwóch tomów poezji („Ludzie, symbole i chore kwiaty”, Wyd. Lub. 1981, „Smugi pieprzu” Iskr, 1983) oraz tomu prozy „Oto stoję przed tobą w deszczu ciała” (Iskry 1983). Poezja Urszuli Jaros („Pokoje kobiet”, LPP 1979, „Stracone ogrody”, Wyd. Lub. 1984) zabrzmiała w polskiej liryce kobiecej całkiem oryginalnym tonem. I chyba nie w tym rzecz, że obie bardzo ciekawe poetki nie dźwigają na sobie — jak do tej pory — balastu obowiązków małżeńskich. Oto bowiem wśród ośmiu debiutanckich tomików, przygotowanych ostatnio do druku w Wydawnictwie Lubelskim, połowa to propozycje kobiet, a z nich aż trzy Anna Borkowska-Lyczewska, Zofia Luchowska-Kuna i Nina Sikora) to meżatki! Uzupełnia tę stawkę Halina Sitarska z Naleczowa, pozwalając na końcowy optymizm tych rozważań.

Czy dom i rodzina muszą zabijać poetycki talent? Jeśli jest autentyczny — zabić się nie pozwoli, ożyje, nie godząc się z rolą niemodnego rupiecia, zakurzonego w lamisie dziewczęcych marzeń... Tylko ce-ę bolesną zapłacić będzie trzeba, utratą sentymentalnej kobiecości tu i ówdzie, stłumionej drapieżnym turpizmem, twarzą goryczy. Ale to przecież koszty własne wyrwania się z piekła kobiecych obowiązków choćby na krótki poetycki moment... Bohaterkom tych rozważań wypada tylko życzyć wytrwałości, dyktując fragmenty pięknego i smutnego wiersza Lidii Kościńskiej „Przemiana”: „Zebrałam wszystkie swoje uczucia i wrzuciłam / do przepaści, w której huk wód i mrok / ... / Teraz łatwiej mi żyć / bez skrzydeł i piór / ... / Tylko czasem, / gdy jestem zupełnie sama, / cicho płaczę”.

Poetki, które to czytacie, odpowiedzcie szczerze: czy naprawdę łatwiej żyć bez poetyckich skrzydeł i poetyckiej pieśni?

Anna Koziolkiewicz

przez wymyślanie w wielkość
na bezkompromisowe dojrzwianie jabłek
na wiersz nawet mam cię
najpiękniej
najważniej

trwam tobą —
jemioła aż po lament pily
pomyśleć że kiedyś na tobie zatańczą
pode mną od święta będą się całować —
zbyt wiosennie szumisz pachnącym strachem
gdy znów jakiś dzieciol
przecież zawsze się można opukać przesądem
utarczyć gazetą

Ewa Drzewiecka - Marcińczak

* * *

żał mi samotnych kobiet
o smutnych powierzchniach skóry
o ciałach rozpaczliwie młodych
dojrzeją zgasną w takich samych
lupinach dni i nocy
pośród pojedynczych filiżanek herbatu
z nienawiścią do niepokalanej
przejrzystości koshul

* * *

nie nie wiesz o mnie poza koloru
moich włosów nagłym przyzwoleniem
i przypadkowy aż nie do uwierzenia
istniejesz oddalony o trzy morza ulic
a ja trwam w nieskończoności wzruszenia
obudzona spełnieniem bólem ledźwi
czułością której pamięć wabi ciało

w domu moim pełnym sennych światel
czekam chroniąc rozpaloną światłość ud

ZRÓDŁO

jest w schronieniu twojej ciepłej dłoni
to uśmiechu warg których smak
uczym sok otaczający pestki granatu
w dębu konarach rozłożystych
na podobieństwo twoich ramion
w zapachu mięty pod stopami
w zakwitaniu gruszy
w zacięniętej piątce naszego syna
zagłębiaz się we mnie miękko
a ja z całym ozumieniem
moszczę ci gniazdo mego ciała
chciał nie budzić już pierś
oddalony ustom o pochyleniu głowy

a Kiedy wypełnia cię ciepły sen
otwiera się jaskrawe wnętrze nocy
na wędrówkę moich pragnień
niekoniecznie poza
niekoniecznie

* * *

lubię przywoływać pamięć zwinności
rąk twoich w zakamarkach skóry
utrążyć wspomnienia nocy rozrywanych krzykiem
a może tylko szeptem co rozkrwawia ciało

lubię być sama i z nieodpartą tęsknotą
śledząc horyzont nocy z królestwem balkonu
sprzezać ciało mimowolnym skurczem pajęczyny
nerwów
który biegnąc od powierzchni ud gaśnie
w podniebieniu

Marta Sobczak

WIELKI DZIEŃ

Dzisiaj jest wielki dzień,
Dzień opieki nad zwierzętami.
Dzisiaj jest wielki dzień
Uśmiechnij się, miły, do mamy.
I kwiatka w ten dzień
Daj, miły, swej pani.
I zębki wyszczersz w uśmiechu.

I jezor wywal na brodę
W ten wielki dzień
Dzień opieki nad kobietami...

MĘZCZYZNA
- CHŁOPIEC

Kupiłam mężczyznę-chłopca,
Koniem na biegunach gonę za szczęściem.
Pokochałam mężczyznę-chłopca,
Za wronięj rodzinę gwizdzą na palcach.
Poślubiłam mężczyznę-chłopca,
Mówi do mnie „mamyśka” i siada na kolanach.
Jasne włosy odgarniam za ucho mężczyźni-
chłopcu.

Jak będzie mężczyzną-staruszkiem
Ciepłym płem będę go przykrywać.
Herbatę na kominku postawię.
Opamiętam mu bańkę



Henryk Makarski

NA PRZEKÓR

bezsensowność drzewa sen mi spędza z oczu
krzykliwość wiatru krzyk w piersi wyznawca
dusznosc powietrza chwytła mnie za gardło
a ogień skryta, namietność rozpala
ziemia wyschnięta zgrzyta pod nogami
woda zalewa przepi naszych domów

wszystkie żywioły grają swoje pieśni
w okrutnym rytmie — ponad ludzkim losem
twarze szarzeją w lęku nieśmiertelnym
a ty mnie śmiechem śniegiem obsypujesz
na przekór ludziom prawom żywiołom

a ty mnie kochasz
nieświadomym bólem

NIE KOCHAC
CIEBIE ?

Przyszła Magda: „mamo daj najlepszą bluzkę,
tobie przecież nie będzie potrzebna!”

Przyszł Jacek: „mamo zjedz sobie to tłuste,
szynkę oddaj bo to ja się rozwijam!”

No i tak się codziennie rozdzierasz
drzewo ciepłe drzewo dobre drzewo złote

Chmara ostra wrzaskliwa podniebna
atakuję — a ty się przegładasz
w stonym lustrze gorących kłopotów
jakby na się wypatrując wyroku

Nie kochać ciebie obdarłej to tak
jakby pogardzić jesienią
która trwoni liście
a przecież
nie umiera

kamena

7

— Niedawno na scenie lubelskiego Teatru Muzycznego odbyła się premiera musicalu „Czarodziejski pierścien” w twojej reżyserii...

— Dodajmy, że jest to musical wystawiony z myślą o bardzo młodej widowni, „baśniowy”. Autorzy — Lucjan Kaszycki (muzyka) oraz Wacław Panek i Lech Terpilowski (libretto) — zaczerpnęli pomysły ze znanej ludowej powiastki „Z chłopu król”. Rzecz w dwóch aktach, dużo piosenki i tańca, główne role grają: Helena Pleskot, Piotr Czupryś i Zbigniew Szejman. Jestem wielkim zwolennikiem musicalu, lubię musicale reżyserować, a taka dziecięco-młodzieżowa forma tego gatunku scenicznego to dla mnie zupełnie nowe doświadczenie... Jestem ciekaw reakcji widowni, tym bardziej, że już tak dawno nie byłem w Lublinie...

— Dokładnie: piętnaście lat! Ostatni raz wyreżyserowałem w Lublinie także musical, „Apetyt na czereśnie” Agnieszki Osieckiej, wystawiony przez Teatr im. Osterwy w czerwcu 1970 r. Potem... „stuch po tobie zaginał”...

— No, no, nie tak bardzo „zaginał”? Coś tam się jednak przez ten czas w Polsce robiło...! Teatr, estrada, telewizja... A w Lublinie nie reżyserowałem po prostu dlatego, że nikt mnie tutaj nie zapraszał.

— Dziwisz się?
— Bo ja wiem? Staram się spoglądać na świat z „filozoficznym dystansem”...

— Ale trochę było ci żal?
— Nnno, może... Wiesz, w końcu to przecież właśnie w Lublinie zdobywałem pierwsze doświadczenia reżyserskie, tutaj odniosłem pierwsze zawodowe sukcesy, dano mi możliwość samodzielnego startu... Bardzo byłem zżyty z Lublinem, z ówczesnym środowiskiem kulturalnym. To był okres w moim życiu, którego nigdy nie zapomnę.

— Pojawili się u nas w 1960 r. z całą grupą młodych aktorów. Był to pierwszy powojenny „naloł młodzi” do lubelskiego teatru, który odcisnął się tak wyraźnie na kształcie artystycznym tutejszej sceny dramatycznej. Drugą podobną inwazję młodych przeżył Teatr im. Osterwy już za czasów dyrekcji Kazimierza Brauna...

— Tak. Przeniosłem się z Kielc, gdzie właśnie rozpadł się jeden z najciekawszych wówczas w Polsce teatrów: teatr Byrskich. Na tamtejszej scenie grano polskie repriemery „Caliguli” Camusa, „Pluskwy” Majakowskiego, „Komentarze do podróży Cooka” Griodoux... Niestety, niektórym teatr kielecki wydał się zbyt ambitny, więc Byrscy powędrowali z częścią zespołu, m.in. z Anną Ciepielewską i Stanisławem Niwińskim do Poznania. A spora część zespołu zakotwiczyła się w Lublinie: oprócz mnie — Jarosław Strzemię, Daniela Zborowska, Kazimierz Kurek. Także — scenografowie Liliana Jankowska i Antoni Tośta. W rok po naszym przyjeździe do Lublina zaangażowała się świeżo upieczona absolwentka warszawskiej PWST Teresa Mikołajczuk, w następnym sezonie — Jolanta Bohdal. Pojawili się niedawno absolwenci szkół aktorskich — Zofia Bajuk, Henryk Bista. Jeżeli dodasz do tego osobowości aktorskie związanych już dawniej z Lublinem — Jana Machulskiego i Stanisława Mikulskiego... To był bardzo ambitny, zdolny, młody zespół! Mielśmy dobrych reżyserów, zdolnych scenografów, graliśmy ambitny repertuar. Teatr lubelski owych lat nie był może awangardowy ani „wiodący” w skali kraju, ale stał na wysokim poziomie. Chciało się w nim

pracować, a publiczność dęła łościgę pracować, a publiczność chciała do niego chodzić.

— Zapamiętałem cię z epizodycznej, ale bardzo ciekawie zagranej roli w reżyserowanej na początku 1961 r. przez Jerzego Golińskiego „Operze za trzy grosze” Bertolta Brechta. Potem przyszły nagradzane na festiwalach teatralnych role Meblusa w „Fizykach” Dürrenmatta, Jaśka w „Zaczarowanym kole” Rydla. Jednak jeszcze wcześniej, jesienią 1961 r., miałem możność poznać cię jako reżysera... To był „kabaret literacki” założony przez grupę młodych aktorów z udziałem jednego literata Jerzego Kłeskiego — występujący z programem „Pół Słówka” opartym na tekstach Tadeusza Boya-Żeleńskiego. Grali: Daniela Zborowska, Zbigniew Czeski, Marek Kępiński i Jarosław Strzemię...

zono mu dyrekcję teatru okazał się — wbrew obawom wielu osób — także zaskakująco dobrym dyrektorem. Dzisiaj, gdy oceniam jego działalność z perspektywy wielu lat pobytu poza Lublinem chyba zupełnie obiektywnie, myślę, że był jednym z najlepszych dyrektorów teatru, z jakimi w ciągu mojej dotychczasowej kariery artystycznej przyszło mi się zetknąć. Oczywiście, nie był ideałem. Miał swoje sympatie i antypatie — któż ich nie ma? Ale w sumie dbał o teatr, o poziom repertuaru, zdawał sobie sprawę ze specyfiki środowiska, w które jego teatr był wpisany, nie był brutalny

i Marianowicza w tamtejszym Teatrze Muzycznym, „Parady” Potockiego w Teatrze Kameralnym w Warszawie.

— Twoja życiowa „wielka przygoda artystyczna”?

— Chyba przygoda telewizyjna; wielkie realizacje telewizyjne w Sopocie.

— Twoje najbardziej gorzkie doświadczenie życiowe?

— Hmm... Odpowiedź nie da się zmieścić w jednym zdaniu. Opowiem ci całą historię... Otóż kilka lat temu w okresie bujnego rozkwitu rozrywki, a także teatru w naszej telewizji zostałem mianowany dyrektorem powołanego do życia teatru TVP „Mu-

SPOTKANIA PO LATACH

Pociąg do musicalu

Rozmowa z reżyserem Zbigniewem Czeskim



Rys. Józef Tarłowski

— Właściwie zawsze marzyłem o reżyserii. Aktorstwo mniej mnie interesowało. Czulem pociąg do form „lekkich” — komedii, musicalu, kabaretu, gdzie oprócz tekstu jest dużo działań wokalnych, taneczno-ruchowych. Może tym bardziej, że posiadałem także wykształcenie choroğraficzne... W Lublinie istniał wówczas silny ruch amatorski, działały teatry studenckie, zespoły i kabarety w Wojewódzkim Domu Kultury... Związałem się przede wszystkim z ruchem studenckim. W teatryku „Dren-59” — zespole przy Akademii Medycznej — było wielu zdolnych ludzi: Danuta Wójtowicz, Jerzy Ber, Wojciech Zajdler... Danka Zborowska wyreżyserowała tam „Pluskwę” Majakowskiego (objawili się wówczas talent aktorski niedawno zmarłego tragicznie Piotra Suchory), a ja „Czerwoną magię” Ghelderode’a oraz „Lemoniadowego Jima”.

— Wszystkie te trzy przedstawienia odniosły sukcesy, otrzymały nagrody na festiwalach studenckich w Warszawie i w Słupie w Jugosławii. A ty sam zacząłeś wreszcie reżyserować na „prawdziwej” scenie. Najpierw w 1964 r., „Zabawa” Sławomira Mrożka, potem — „Czarowna noc” i „Karol”, wreszcie, w rok później, „Niech no tylko zakwitną jabłonie” Agnieszki Osieckiej. Wielki sukces Teatru im. Osterwy; także kasowy — prawie 300 przedstawień!

— Myślę, że „Jabłonie” to był również sukces „pedagogiczny” ówczesnego dyrektora teatru, Jerzego Torończyka; powierzył przecież reżyserię dużego widowiska muzycznego młodemu, sui generis „amatorowi”, reżyserowi „bez uprawnień”. I... — jak to mówią — sprawdziło się. Jurek był zdolnym scenografem, a kiedy powie-

wobec podwładnych, młodym potrafił zaofiarować szansę. Zawdzięczam mu bardzo wiele.

— Dyplom reżyserski robiłeś już po przeniesieniu się do Warszawy musicaliem „Boso, ale w ostrogach” według znanej książki Grzesiuka, na deskach Teatru Komedia, Ciągłe te musicaly...

— Już ci mówiłem, że pociąga mnie teatr popularny. A wizytówką teatru popularnego drugiej połowy dwudziestego wieku jest, moim zdaniem, właśnie teatr musicalowy. Jestem także zwolennikiem komedii w teatrze popularnym. Dobrej, ambitnej komedii. Ileż spraw aktualnych można wyrazić za pośrednictwem utworów Gogola? Albo Fredry!

— Z jakim teatrem jesteś teraz związany?

— Ze wszystkimi teatrami w Polsce i... z żadnym. Jestem „wolnym reżyserem”. Jeżdżę po kraju tam, gdzie mnie zaproszą i reżyseruję sztuki. Pięć lat siedziałem na etacie w warszawskiej „Komedii”, kilka lat — w telewizji, wreszcie — na stolku dyrektorskim teatru „Music-Hall” w Chorzowie. W telewizji robiłem z Gruzją sopockie festiwale piosenki, na festiwal w Opolu przez pięć lat reżyserowałem koncerty debiutów, w stołecznej „Syrenie” wystawiłem pod rząd pięć sztuk z klasycznym już dzisiaj „Wodewilem warszawskim” Gozdawy i Stępnia na czele, w „Kameralnym” w Warszawie...

— Dostyś, dostyś! Która spośród realizacji artystycznych uważasz za swój największy sukces? Myślę o przedstawieniach teatralnych.

— „Perłę” w Teatrze Powszechnym w Łodzi, „Diabeł nie śpi” Sielickiego

„sic-Hall” w Chorzowie. Była taka idea, żeby powstał w Polsce wielki, nowoczesny, musicalowy teatr, który stanowiłby także „zaplecze” dla rozrywkowych widowisk telewizyjnych. Postanowiono zaadaptować na siedzibę owego teatru dawny dom kultury hut „Kościuszko”. Dostałem służbowe mieszkanie oraz etat dyrektora. Przyjeżdżając do Chorzowa byłem jedynym etatowym pracownikiem teatru. Odchodząc po pięciu latach z Chorzowa zostawiłem budynek teatralny prawie gotowy, wspaniały Dom Aktora z 59 mieszkaniami, najnowocześniejszą urządzonej technicznie scenę, 30-osobową orkiestrę i 40-osobowy zespół młodych, wyjątkowo utalentowanych, specjalnie przygotowanych do pracy na takiej właśnie scenie aktorów. Bo — kiedy rozpoczynałem działalność w Chorzowie — zdałem sobie sprawę, że trzeba będzie dopiero wykształcić nowe, młode sily dla teatru. I że w tym celu należy zorganizować specjalne studium teatralne, bo dzisiaj nikt nie szkoli aktorów dla potrzeb estrady. Ja takie studium zorganizowałem i wyszkoliłem w nim ludzi. Pamiętasz wielką Rewię Sylwestrową w warszawskiej telewizji w 1979 r.? Ona właśnie opierała się na naszych siłach z chorzowskiego „Music-Hallu”... No, a jaki był finał mojej działalności? Otóż taki, że niedługo przed pierwszą premierą w ukończonej wreszcie siedzibie „Music-Hallu” przestałem nagle być jego dyrektorem, jego pracownikiem, oraz posiadaczem mieszkania służbowego... Mam wielki żal, że nawet nie mogłem doczekać tej mojej pierwszej premie-

Ekran i widz

MALUCH CZYLI SAMO ŻYCIE

GŁOWNYM bohaterem najnowszego filmu Krzysztofa Wojciechowskiego „Fetysz” jest nie człowiek, ale przedmiot: pojazd o napędzie spalinowym, znany pod oficjalną nazwą fiat 126 p, ciasny, lecz głośny wehikuł, który miał zrewolucjonizować polską motoryzację, a który zdołał już przysporzyć tysiącom ludzi tyle trosk i kłopotów.

W krzywo tłoczonych szybach „malucha” odbija się, niczym w krzywym zwierciadle, niemący szmat naszej polskiej rzeczywistości; naszych złudzeń,

aspiracji, rozterek, możliwości i niemożliwości. Nic przeto dziwnego, że Krzysztof Wojciechowski dokonując swej kolejnej filmowej „sondy socjologicznej”, uczynił to poprzez „pryzmat” fiata 126 p. Nic też zaskakującego, że przy takim założeniu „Fetysz”, rozpoczyna się jako komedia, aby z biegiem czasu nabierać cech ponurej niemal groteski.

W filmie Wojciechowskiego dziadek-rencista, postawiony na straży w oknie, nie zdołał dopilnować rodzinnego „malucha” garażującego pod śmietnikiem i to sprawiło, że jego syn, magister-mikrobiolog, inteligent pochodzenia chłopskiego w pierwszym pokoleniu, musiał złamać wyszane z mlekiem matki niewzruszone zasady etyczno-moralne i rozpocząć... serwilną kradzież fiatów 126 o koloru „biaśnek pustyni”. Aby nie stracić twarzy przed rodziną jako patentowana ofermą, która nawet własnego samochodu nie potrafił odnaleźć, no i... żeby mieć czym teździć kiedy już raz się człowiek do cna wyprzedał i poświęcił nawet rodzinne oszczędności zromadzone na parady nagrobek na wiejskim cmentarzu. W ten oto sposób nieszczęsny inspektor „sannidnu” mgr Rudy tropiacy dotad z całą bezwzględnością prusaki i karaluchy w restauracjach i barach prowadzonych przez wstrętnych paskarzy-aleatów sam stał się perfidnym, przemysłowym, nieuchwytnym przestępcą wzbudzałym podziw i zazdrość wśród złodziej-zawodowców. Wpadnie w końcu w ręce organów ścigania, ale i wte-

dy, w zupełnie paradoksalny sposób, szczęście się do niego uśmiechnie: dzięki nieprawdopodobnemu zbiegowi okoliczności (którego tutaj ze zrozumiałych względów, nie zdradzę) wyjdzie na wolność, oczyszczony ze wszystkich zarzutów Tytu, że wtedy będzie miał już dosyć no dziurki w nosie statusu posiadacza „malucha” i wszystkich problemów z tym statusem związanych...

Sledząc w miarę rozwijania się fabuły, kolejne perypetie magistra Rudego, ocieramy się wraz z nim o świat, w którym przyszło mu żyć, pracować a także... przestępować prawo. To świat szarych, jednostajnych osiedli mieszkaniowych, barów wypelnionych pijaczkami, sprzedających sprzedawców, cynicznych urzędników, cwaniaczków-kombinatorów umiejących podleż gdzie trzeba i jak trzeba — zalaćwie „od ręki” każdą sprawę...

Lecz jest jeszcze świat inny, ku któremu wydaje się wskazywać Wojciechowski jako na remedium: to wieś, to natura, wśród której wyrosli, z której uciekli kiedyś do miast bohaterowie „Fetysza”. Wieś — ze swym zdrowym powietrzem, z czystą atmosferą, z prostymi, ale także istotnymi i słusznymi zasadami życiowymi...

Może i rację ma Wojciechowski, kiedy zwraca się w jednym z wywiadów, że swoje paradoksalne, „organiczne kino” — kino „podporządkowane rzeczywistości” robi dlatego, m.in., iż: „Nie mogę zgodzić się z formułą nawet najlepszych reportaży telewizyjnych, tych interesujących, z których wynika, że zwykle winien jest konkretny człowiek, a nie coś więcej — pewne mechanizmy. Panuje jakaś moda na pokazywanie wszelkiej deprawacji, wynaturzeń, ale nikt nie zadaje sobie trudu, by odpowiedzieć sobie na pytanie, skąd się to bierze? Tymczasem zostały zaprzepaszczone gdzieś nasze, trochę może zaściankowe, ale pozytywne przecież, wzorce wychowania. Wyśmiewa się pewne staropolskie, trochę sarmackie kanony wychowawcze, lecz one uczyły jakiejś poczciwości, przywiązania do rodziny, do ludzi żyjących w jednym kraju.” Racja. Tytu, że w „Fetyszu” Wojciechowski sam też — mimo bystrej obserwacji — nie tak wiele ma do powiedzenia na temat spraw, mechanizmów i problemów, które porusza w swym wywiadzie. Zaś jego ukłon w stronę wsi jest wpraw-

ry. Szkoda mi też przyszłości, jaka ry-
suje się teraz przed „Music-Hallem”...

— Wróćmy do spraw mniej smutnych, choć
nadal — z dziedziny rozrywki... Jak — pra-
cując od lat w tym fachu — oceniasz obecny
stan scenicznej działalności rozrywkowej
w Polsce? Czy w naszych niełatwych cza-
sach jest zapotrzebowanie właśnie na roz-
rywkę?

— Zapotrzebowanie jest bardzo du-
że. Właśnie na formy estradowe, mu-
sicalowe, kabaretowe, na przedstawie-
nia komediowe. Ale są też wymaga-
nia widowni. Ludzie gotowi są płacić
nawet bardzo wysokie ceny za bilety,
ale pod warunkiem, że to, co pokazuje
im się na scenie czy estradzie, będzie
naprawdę na wysokim poziomie. Lu-
dzie nauczyli się nie przyjmować byle
czego za dobrą monetę. Wyrosło zupeł-
nie nowe pokolenie odbiorców przed-
stawień rozrywkowych. Wieloletnie
słuchanie dobrych, krajowych i zagra-
nicznych programów radiowych, oglą-
danie widowisk z wielu stron świata
w telewizji spowodowało bardzo duże
zawyżenie kryteriów oceny. Po pro-
stu ludzie „znają się” na rozrywce. To
już nie te czasy, kiedy byle zespół
„Artosu” wzbudzał entuzjazm widowni.

— Czyli: jest „popyt”. Ale co z podażą?
— Tutaj wchodzimy znowu w sferę
niewesołą w rozrywce. Olbrzymi
rozrost w ciągu ostatnich kilku lat ze-
spółów rockowych, stosowana jeszcze
do niedawna przez środki masowego
przekazu ulgowa taryfa wobec zespo-
łów nawet bardzo miernych, sprawiły,
że dzisiaj — jak to się mówi „w bran-
ży”, kto tylko jako tako „szarpie dru-
tem na estradzie, ten robi szmal”.
Małolaty i tak przyjdą na koncert, za-
placą każdą cenę i jest dobrze. Ale
„utwór muzyczny” to nie tylko wyko-
nanie estradowe. To także — ZAIKS
i tantiemy dla autora muzyki, i auto-
ra słów. Teraz jest tak: kto może, pi-
sze teksty dla rocka. Bo po co nawet
najzdolniejszy „tekściarz” ma pisać dla
kabaretu, jak tam nie dostanie nawet
jednej pięćdziesiątej tego, co mu wply-
nie z rockowej estrady? A ile by do-
stał, gdyby opublikował wiersz w ga-
zecie; no — ile? To, nie koniec. Bo
„estradowy” piosenkarz, wykonawca
piosenek popularnych, też nie chce zo-
stać w tyle! Organizują wielką im-
prezę z okazji „lecia znanego, ogólnop-
olskiego dziennika. Zwracam się do
znanej piosenkarki, choć już o trochę
przebrzmiałej popularności. Zgoda, mó-
wi, ale poniżej trzydziestu tysięcy nie
wyjdę na estradę. A za „objazdówkę”,
przy wielu występach, żąda dziesięć
tysięcy od spektaklu...

— I dostaje tyle?
— Są tacy, którzy płacą i tyle...
— To ile wobec tego dostaje reżyser za
ustawienie „imprezy”? Albo przedstawienia
teatralnego?
— Za kilkumiesięczną, ciężką pracę?
Tego ci nie powie żaden reżyser, bo
by mu było wstyd... Więc lepiej nie
pytaj.

— Tak na sznurko zakończyły naszą pierw-
szą, po latach, rozmowę?
— Skończymy ją zatem w nurze no-
stałiczno-refleksyjnej: po piętnastu
latach przyjechałem do Lublina, gdzie
jest nadal mój dawny teatr, gdzie na-
dal egzystuje Klub „Nora”, i gdzie na-
dal występuje kabaret „Czart”. Fakt,
że Lublin jest już bardzo inny i nie-
zupełnie mogę się w nim odnaleźć. Ale
choć po ulicach z radością; kiedyś
wszystko się tutaj dla mnie zaczęło...

Rozmawiał: Mirosław Derecki

dzie piękny i wzruszający, ale i nie-
zbyt odkrywczy.

Ogląda się „Fetysha” doskonale. Widać w
tym filmie reke fachowca, akcja toczy się
wartko, sytuacje są zabawne, obserwacje
byste, pomysł ciekawy. Ale jest też to, co się
często Wojciechowskiemu zdarza: przy bar-
dzo ambitnym, odważnym założeniu, gdzieś
— w miarę rozwoju akcji — zaczyna się
rozdrabniać ciężar gatunkowy tematu, gu-
bić w błyskotliwych scenkach, w „grup-
sach”, w „mozaikowości” ukazwanego
przez reżysera obrazu. Zaczyna Wojcie-
chowski jak — (bo la wlewi!): Kieślowski,
a kończy nierzmił Borejsa...

Ale jest to dla mnie równocześnie
film o wiele lepszy od „Rogu Brze-
skiej i Capri” i od „Szarży”, (nie mó-
wiąc już o nieszczytnych, tak bardzo
i tak słusznie krytykowanych „Anty-
kach”) choć, niestety, daleko mu do
klasy „wielkich” tematycznie „Ko-
chajmy się” (1974 r.) oraz „Rodziny”
(1975 r.), gdzie m.in. tak doskonale
sprawdziła się praca Wojciechowskiego
z aktorami niezawodowymi. W „Fety-
szu” po raz pierwszy reżyser dokonał
„fuzji” aktorów zawodowych z „na-
turalistycznymi”, i takie założenie oka-
zało się zupełnie udane.

M. D.

„Wielki grajdoł?”-ciąg dalszy

Między ślepyimi jednooki jest królem

SZANOWNA Redakcjo! List mój
jest reakcją na dwa artykuły,
które pojawiły się ostatnio w
lubelskiej prasie, a to: „Wiel-
ki grajdoł?” pani Lidii Wójcik, za-
mieszczony w „Kamieniu”, i „Wizja kul-
tury według »Kamieny«”, autorstwa pa-
ni Franciszka Piątkowskiego, opubli-
kowany przez „Sztandar Ludu”.

Nie jestem bynajmniej „nożycami”,
które „odezwały się po uderzeniu w
stół” całkiem mocnej, choć przecie ko-
biecej dłoni pani Lidii Wójcik.

Występuję w roli zwykłego „konsu-
menta” kultury. Od ćwierć wieku, czy-
li od moich szczęśliwych narodzin w
mieście Lublinie, muszę się, niestety,
„odzywać” kulturalnie we własnym
zakresie i choć, chwalić Boga, mam się
dobrze, to nie powiem, aby czasem nie
szarpał mą duszą wilezy apetyt na do-
bry spektakl, wystawę, spotkanie z
artystą. Szczęściem jednak udało mi
się uniknąć poważniejszych „zatruc”,
dzięki dyskretnemu omijaniu lubel-
skich przybytków kultury i uczestni-
czeniu tylko w „imprezach” sprawdzo-
nych.

„Ograniczenie się jest oznaką mi-
strza” — dość więc gastronomicznych
metafor, przejdźmy do konkretów.

Jestem — len szczerzego uznania dla
pani Lidii Wójcik za krytykę życia kul-
turalnego Lublina, przeprowadzoną z
odwagą i determinacją i dla „Kamieny”
za opublikowanie tej krytyki. Ja rów-
nież jestem zdania, że stan kultury w
naszym mieście jest tragiczny i należy
jąk najszybciej reanimować to, co u-
mierza, a to, czego nie ma, stworzyć.
I przyjmując, iż artykuł pani L. Wój-
cik ma być owym dzwonem, co na
trwogę dzwoni i do walki wzywa, zmi-
czę o tym, co mi się nie podobało. Cel
owego wystąpienia, dla mnie oczywi-
sty, uszedł uwadze pana redaktora
Franciszka Piątkowskiego. Tak w ogó-
le, to pyznie się bawiłem czytając sż-
nisty artykuł pana F. Piątkowskiego,
który to krytyk między wierszami
„Wizji kultury według »Kamieny«”,
„ipse semet causat” — sam siebie o-
piewa.

W sumie, wyjąwszy niewielką ilość
merytorycznych zarzutów pod adresem
publikacji w „Kamieniu”, z którymi się
zgadzam, artykuł pana F. Piątkow-

skiego jest typową „polajanką” praso-
wą niegodną szanującego się krytyka.
Zresztą cały artykuł (bynajmniej nie
„artykułik”) opiera się na trzech pod-
stawowych założeniach. Po pierwsze —
przyłożył „Kamieniu” tak, aby się na-
gami — przepraszam — szpałła na-
kryła, po drugie — pocieszył wszyst-
kich, że z kulturą lubelską nie jest tak
źle, — czyli (powtarzając za D. Passen-
tem) jajeczko jest tylko cokolwiek nie-
świeże, albo (powtarzając za starożyt-
nymi Rzymianami) — między ślepyimi
jednooki jest królem i wreszcie po
trzecie — zaprezentował swą teorię,
według której poziom kultury zależy
od poziomu krytyki, a że „Kamieny”
na krytyce się nie zna, to jest jak jest.

Pierwsze i drugie pozostawiam bez
komentarza. Trzecie założenie warte
jest zastanowienia i ja się nawet z
nim zgadzam. Proszę bardzo! Do pełni
zadowolonia brakuje mi jednak o-
świadczenia podpisanego przez autora
omawianego tekstu. Oświadczenia tre-
ści mniej więcej takiej:

„Ja, niżej podpisany, najmocniej
przepraszam wszystkich potencjalnych
widzów, słuchaczy, czytelników etc., a
przede wszystkim szanownych artys-
tów za to, że zamiast: inspirować, roz-
ślawiać, „rozpoznawać wartości”, czym
zapewniłbym dostatek kultury w na-
szym mieście, i bawię się w niepotrze-
bne nikomu prasowe „polajanki”.

To mi wystarczy. Czeka!

Czekałem, czytając obydwie artykuły,
na to, że ich autorzy odkryją przede
mną przyczyny kulturalnej miserii
Lublina, a może nawet pokuszą się
o podanie jakiejś na nią recepty. Nie-
stety, nie doczekałem się i pewnie się
nie doczekam. Fachowcy wolą ośmie-
szać się pojedynkami na gazetowym
papierze. Wygrywa ten, kto obrzuci
przeciwnika cięższą inwektywą i o-
chłapie większym kleksem.

Ja nie jestem z „branży” i pozwolę
sobie na kilka uwag w tej materii.
Oto cytuję z „Rękopisów ekonomiczno-
filozoficznych” Karola Marksa: „Czło-
wiek stroskany, żyjący w nędzy, nie
jest wrażliwy na najpiękniejsze wido-
wiiska”. Nie żyjemy, być może, w nę-
dzy, ale z pewnością zdecydowana

większość potencjalnych odbiorców
kultury jest stroskana i zagubiona w
codziennych kłopotach. I nawet nie
chodzi już o brak czasu, ile o niemoż-
ność wyzwolenia w sobie pragnień
estetycznych, gdyż cała energia kiero-
wana jest na zaspokojenie potrzeb ele-
mentarnych. W „O literaturze i sztuce”
(K. Marks i F. Engels) czytamy:
„Przedmiot sztuki — a tak samo każ-
dy inny produkt — stwarza publicz-
ność, która sztukę rozumie i potrafi
rozkoszować się pięknem”.

To prawda, lecz prawdą nadrzędną
jest myśl przytoczona wcześniej. Do-
piero zaspokojenie podstawowych po-
treb życiowych stwarza sytuację, w
której mogą powstać wspomniane
pragnienia estetyczne. I chociaż fak-
tem jest, iż artysta swym dziełem
tworzy publiczność na prostej zasadzie
— „ignoti nulla cupido” — nie pożą-
damy tego, czego nie znamy, to faktem
jest również to, że publiczność tworzy
artystę, jego dzieło, sztukę. Istnienie
aktywnego odbiorcy inspirowane, rodzi
w artyście potrzebę tworzenia. Niepra-
dą jest, jakoby malarz, poeta, aktor,
malował, pisał, grał — dla siebie.
Każdy artysta oczekuje, iż wytwory
jego wyobraźni zapewnią mu pewien
rodzaj nieśmiertelności. Pozwól mu
„żyć” po śmierci. A stać się się to mo-
że tylko za sprawą odbiorcy.

Zależność jest więc wzajemna. Sko-
ro, jako rzekłem, są kłopoty z publicz-
nością, spytajmy jak jest z artystami?
Myślę, że z tym jest jeszcze gorzej i
jedynie co mi pozostaje, to zadeptyko-
wać im (znaczy artystom) słowa To-
deusza Konwickiego:

„Zeby pisać naprawdę, trzeba wie-
rzyć i wiedzieć na pewno, że piszę
najlepiej na całym świecie. Tylko
wściekła, agresywna wiara we własne
słowa i w swoje posłannictwo upoważ-
nia do pisania”.

Zyczę tej wiary w moe i rację two-
rzenia publiczności, artystom, kryty-
kom i sobie! Quod scripsi scripsi —
co napisałem napisałem, serdecznie
pozdrowiam!

Hubert Jesipowicz

Lublin nie jest samotną wyspą

Od czasu do czasu pojawia się
w prasie rozrachunkowy arty-
kuł poświęcony lubelskiej kul-
turze. Wtedy wydaje mi się,
że pod tytułem wisi wypowiedź: RE-
MONT, REMANENT, PRZERWA O-
BIADOWA czy też WYSZŁAM DO
BANKU. Teraz kultura często wychodzi
do banku na konsultacje, bo wszy-
scy narzekają na brak pieniędzy. Pamie-
niętam taki rodzajający z maty
artykuł sprzed kilkunastu lat, opubli-
kowany bodajże w „Literaturze”. Nie-
którym wydawało się, że wpełchnięto
kij w mrowisko. Kijaszek jednak szyb-
ko zbutwiał. Potem wtykano nowe ki-
je, niektóre nawet kuszono nie zdoby-
wać. Nigdy nie brakowało tam jadowi-
tej czy patetycznej krytyki, ale kon-
kretnych postulatów prawie nie było,
bo nie mogło być przede wszystkim
dlatego, że Lublin nie jest samotną
wyspą i nie tworzy własnej kultury,
a tylko w ogólnonarodowej kulturze
współuczestniczy.

Tego typu publicystyka ma za sobą
długą i szacowaną tradycję. W każdym
tomie felietonów Prusa wielokrotnie
spotykamy Lublin jako prowincjonalne
i pomniejszone odbicie szkowanej War-
szawy. Prus miał dla Lublina wiele
sympatii, ale na wiek cały utrwalił
stereotyp miasta poczciwego i zapy-
ziałego. O poematach heroikomicznych
Krasiekiego lepiej już nie wspominać.
Wrócąmy do współczesności.

Główny zarzut entuzjastycznie
nastrojonych publicystów sprowadza się
w końcu do tego, że nie ma w naszym
grodzie geniuszy, przed którymi cały

świat pada na kolana. Nie ma nawet
laureatów Nagrody Nobla, chociaż na
jednym uniwersytecie w Chicago jest
ich podobno pięćdziesiąt. Pewnie, że dobrze
by było ze czterech przynajmniej ściąg-
nąć do Lublina. Można też skorzystać
z rezerwy personalnych Paryża, Londy-
nu i Moskwy. W mieszkaniach na Cze-
chowicie będą wkrótce telefony — tym
też można kusić, wabić i kaperować.
Gdyby ktoś sprawę potraktował po-
ważnie, zgłaszam się na faktora, jako
człowiek właśnie poważny i solidny.
Tyle więc a polityce personalnej.

A czy w takim razie nie można by
było lepiej wykorzystywać, lepiej eksploa-
tować tych mistrzów, których już po-
siadamy? Zajrzyjmy więc do teatru.
Gogolewski należy niewątpliwie do
wąskiego grona najwybitniejszych pol-
skich aktorów — to sprawa bezdys-
kusyjna. Jest poza tym ambitnym re-
żyserem i bardzo dyrektorskim dyre-
ktorem. W sumie mamy czołowieka tea-
tru sporego formatu. Problem jednak
polega na czym innym. Czy jedyny
teatr w mieście może być teatrem
Wielkim i Wyjątkowym, sko-
ro musi także między innymi spełniać
funkcje dydaktyczne? Taki teatr może
być poprawny, od czasu do czasu nie-
zły. I więcej nie spodziewajmy się.
Mnie, osobliwie, wystarcza czasami nie-
szła scenografia, czasami atrakcyjna
sztuka, czasami zaś nagle jakby prze-
budzony aktor czy aktorka, która aku-
rat miała niezły dzień i pokazała, że
sporo potrafi.

Teatry nieprofesjonalne, owszem, ro-
bią trochę szumu, ale to w końcu jest

tylko dziesiąta woda po kisielu o sma-
ku akurat modnym, choć już cuchną-
cym nieco myszką, w związku z czym
teatry te są niby awangardowe, ale —
jak to się mówi — w dziesięć lat po
Murzynach.

W lubelskiej literaturze ostatnich lat
działa się właśnie nie najgorzej. Pow-
stał i ustabilizował się „Akcent”, mło-
dził wydał kilkadziesiąt zauważonych
przez krytykę tomików — wydał nie
tylko dlatego, że byli młodzi, ambitni
i niecierpliwi, a także nie dlatego, że
pomagali im starsi, którzy też nagle
stali się jakby młodszy; po prostu w
Lublinie akurat był odpowiedni kli-
mat, sprzyjający tym poczynaniom.
Skoro już o sukcesach mowa, przypom-
nijmy jeszcze, że chwalono i nagra-
dzano lubelskie kabarety. Wiele dobre-
go mówi się o piosenkach i muzyce
rozrywkowej — wprowadziło to margi-
nes sztuki prawdziwej, ale wcale nie
wylądnie biznes czy kultura.

Czy to właśnie ma być optymistycz-
ną pointą? Otóż nie chodzi mi o pe-
symizm czy optymizm. Na tym polega
błąd wszystkich apologetów i wszyst-
kich zółtów. Gdy chcemy mówić o
wielkiej sztuce, musimy rozpaść się
z pozycji wieków czy tysiącleci. Go-
dziny teraźniejszości liczymy tylko cze-
kając na pociąg.

Janusz Olczak

Kamena 9

W początkach lutego Tarnogród gościł dziesiąty już Międzywojewódzki Sejmik Wiejskich Zespołów Teatralnych. Był to pierwszy z pięciu zaplanowanych na rok 1985 przeglądów regionalnych, które odbędą się w Stoczku Łukowskim, Świdwinie, Nowym Sączu, Białym Dunaju. Na listopad zaś zaplanowano, znowu w Tarnogrodzie, drugi sejmik ogólnopolski.

SEJMIK w Tarnogrodzie — to zupełnie niezwykłe zdarzenie teatralne, niepodobne żadnym przeglądom i festiwalom teatrów zawodowych, ani nawet innych amatorskich. Rzadko bowiem się zdarza, by impreza teatralna była jednocześnie ogólnym świętem dla miejscowości, w której się dzieje.

Teatr zaczyna się tu zwykle dużo wcześniej, nim odłoni się kurtyna. Na dwie, albo trzy godziny przed rozpoczęciem przedstawień w sali widowiskowej Gminnego Ośrodka Kultury gromadzą się wiejskie kobiety owinięte w chusty, chłopcy w baranicach. Mimo że dzień powszedni, poniechali domowych zajęć, doglądania gospodar-

stwo nieuchronnej niwelacji tradycyjnej kultury ludowej na skutek procesów cywilizacyjnych istnieje potrzeba, by dawne obrzędy ludowe, magię zaklęcia, rytuały, wyprzedzające się przecież szczególnie w formach teatralnych, inscenizować i budować z nich teatr obrzędowy, rytualny o niepowtarzalnej strukturze i odrębnej treści.

Pośród trzynastu wiejskich zespołów, które zaprezentowały się na tegorocznym Sejmiku w Tarnogrodzie dziełami pokazało przedstawienia obrzędowe. Aż trzy zespoły dały inscenizacje obrzędu weselnego, to pewnie nieprzypadkowe. Na formę i istotę teatralności tkwiącej w polskiej obrzędowości weselnej zwrócono uwagę już dosyć dawno. U progu naszego wieku powstało nawet naukowe opracowanie tego zagadnienia (praca prof. C. Ehrenkreuzowej „Forma dramatyczna obrzędowości polskiej weselnej”). Na strukturę widowiskowo-dramatyczną wiejskich weseł zwracał uwagę Jędrzej Cierniak, pisząc po wielokroć o szczególnych możliwościach teatralnych, jakie niesie ten obrzęd, będący

brze pomyślany scenariusz, który może być wypełniany improwizowanymi dialogami. To „teatr z głowy” i stąd niemożliwa jest właściwie powtarzalność takich widowisk, są one zdarzeniem jednorazowym. Znamienne cechą, która ujawniła się w kilku przedstawieniach, najbardziej zaś w „Darcie pierza” w wykonaniu zespołu z Kosmowa, jest próba nawiązania kontaktu z widzem, częstowanie widowni wódką, plackiem, zaś podczas obrzędu zamawiania choroby kierowanie porad bezpośrednio do widowni. Jest to zarazem próba poszerzenia przestrzeni sceny i jakby połączenia tych dwu rzeczywistości: widowni i sceny, by tak jak w tradycyjnym obrzędzie wszyscy byli jednocześnie widzami i uczestnikami.

W zaprezentowanych widowiskach obrzędowych pokazano obrzędy i zwyczaje związane ze świętami, z rytmem słońca, pracą, porami roku; obrzędy, w których ujęty jest rytm życia człowieka i przyrody. Nie pojawiły się natomiast przedstawienia podejmujące próby inscenizacji legend, podań, choć

Święto Tarnogrodu

Lidia Wójcik

stwa i już o ósmej, albo o dziewiątej rano, nie rozdzielając się nawet z ciepłych kaftanów i kożuchów, zasiadają w rzędach, by „trzymać miejsce” Ci, co nie zadbali wcześniej o rezerwację foteli, decydują się na parugodzinne stanie w ścisłości i ciszy, albo przychodzą z własnym siedziskiem, dzieci zaś upychają się na schodach przy scenie, albo ślądają wręcz na obrzeżach sceny. Niewielka sala GOK-u (280 miejsc siedzących) nie może pomieścić wszystkich widzów, a każdy obywatel Tarnogrodu na Sejmiku musi być, wszak to przecie święto!

Ważniejsza nawet wydaje się chwilami ta publiczność, niż sama scena, bo w końcu i kształt owej dziwnej widowni — spontanicznej, zupełnie nie organizowanej — wskazuje na realną potrzebę istnienia teatru na wsi. Zaś znaczenia i cele tego teatru są nie blade (wystarczy choćby uwzględnić jego sens społeczno-wychowawczy), a wynikają one z właściwej mu specyfiki strukturalnej.

Z esłami teatru ludowego ściśle wiąże się sprawa jego treści, czyli ogólnie mówiąc repertorium. Treść teatru wiejskiego, bardziej niż w jakimkolwiek innym teatrze, związana jest przede wszystkim z środowiskiem społecznym, które ten teatr dla siebie tworzy. Możliwość repertuarowa są tu dość rozległe; od inscenizacji obrzędu ludowego w formie misternej albo zabawowej, poprzez wykorzystanie pieśni, tańca, muzyki, legendy; od recytacji utworów literackich do własnych dramatów ze współczesną tematyką, a formie literackiej na miarę potrzeb i umiejętności.

Największą szansą dla teatru na wsi, mogącą stanowić o jego odrębności i swoistym obliczu, jest możliwość wykorzystania jako tworzywa teatralnego ludowej obrzędowości. Większość zespołów spośród tych, które przyjechały do Tarnogrodu, próbuje tworzyć właśnie teatr obrzędowy, albo przynajmniej paraobrzędowy, widząc w obrzędzie nie tylko możliwości teatralne, ale poprzez teatr chcą ocalać szczątki autentycznych zwyczajów i wierzeń właściwych dla własnej wsi, regionu — same zespoły podkreślają to jako najważniejszy cel działalności. Znamienne wydaje się, że twórcy wiejskich teatrów dostrzegają nie tylko możliwościowo-teatralny, ale przede wszystkim dokumentacyjno-poznawczy charakter swojej działalności. Świadczą to o ważnych zjawiskach: o pewnej świadomości kulturowej twórców ludowych teatrów i ich pojmowaniu teatru jako sprawy ważnej, nie tylko jako rozrywki. Ich rozumienie teatru bliższe zdaje się być myśli Jędrzeja Cierniaka (choć o teatrze cierniakovskim nie wiedzą na ogół nic), że teatr ma być uroczystym zdarzeniem, skupiającym ludzi dla osobistych przeżyć estetycznych i moralnych.

„dramatem-misterium i dramatem-zabawą”.

Przedstawienia weseł przywiezione do Tarnogrodu z Wieniawy i ze Zbożennej w województwie radomskim oraz z Bielin w województwie kieleckim pokazały, jak znaczne są różnice w pojmowaniu obrzędu, sposobach i umiejętnościach przenoszenia go na scenę.

W „Weselu bielińskim” wszystko zostało ujęte w formę zabawy; wykupywanie wianka, wyjazd do ślubu, cepiny ubrano w wesołe śpiewki i tańce. Swobodne rozmowy (improwizowane dialogi) urozmaicono popijaniem wódki (prawdziwej!) i przejadaniem wiejskiej kiełbasy i placków. Zaznaczono pełną stylizację i umowność. Przedstawienie dało zatem w jakiejś mierze odpowiedź na istotne stale w wiejskich teatrach pytanie: jak stosować strój, gwara, tańce, czy ściśle według oryginału, czy w uproszczeniu, swobodnej stylizacji?

Zespół ze Zbożennej pokazał obrzęd weselnego błogosławieństwa, jako widowisko pełne powagi, dostojności, bardziej muzyczne, niż teatralne, wsparte na pieśni i tanecznym korowodzie, rodzaj „teatru z pieśni”. Najważniejsze jednak wydaje się, że to widowisko stworzył zespół złożony prawie wyłącznie z młodzieży i dzieci. Młodzi ludzie na wsi chcą się przebierać w regionalne stroje (choćby tylko na scenie), śpiewają, tańczą, prezentując obrzędy swojego regionu, to chyba coś znaczy. We wszystkich widowiskach weselnych interesujące były kostiumy, stroje ludowe, regionalne, znacznie zróżnicowane (w obrębie zespołu, znać, że pochodzą nie z masowej produkcji, nie są cepeliowskie. Ten strój ludowy, ozdobny, pojawił się właściwie tylko w widowiskach weseł, czyli przedstawieniach pokazujących obrzędy odświętne, nie związanych z pracą. Twórcy widowisk mają bowiem świadomość, że strój ludowy (gorsety, korale, pasiaki, stroiki) jest strojem uroczystym.

Dominującym elementem większości widowisk była pieśń, a wielu także tańce; dekoracje schodzą tu na plan dalszy, ze względu na warunki realizacji bywają najczęściej uproszczone, umowne. Pieśniami bardzo różnymi — począwszy od religijnych, aż do sprośnych — i tańcem (polki, sztajerkki) wypełnione było przedstawienie „Wieniecowyń” w wykonaniu zespołu z Futomy. Obrzęd związany z końcem żniw pokazano jako rytuał pełen powagi, wypełniony modlitwą (przy jedzeniu), ale pozostający jednocześnie na pograniczu zabawy. W podobnej konwencji przedstawiono wiejski zwyczaj „Klizenia kapusty” (zespół „Bilnowianka”), nasycony dowcipami, przyspiewkami, zabawnymi sytuacjami. Wszystko w tych przedstawieniach dzieje się „naprawdę”; i kapusta jest prawdziwa i chłop naprawdę ugania ją nogami w beczce (Dobro), i darcie pierza jest prawdziwe i wódka i jedzenie i gderanie bab. Przedstawienia mówią na ogół do-

ten typ teatru na wsi zdaje się mieć znaczne szanse istnienia (do tego rodzaju teatru na wsi przywiązywał wielką wagę Zeromski — „Snobizm i postęp”).

Znalazły się również na Sejmiku cztery widowiska próbujące pokazywać tzw. teatr dramatyczny, naśladować, niepotrzebnie i dość nieudolnie, teatr zawodowy. Trzeba od razu powiedzieć, że ten rodzaj teatru na wsi ma znacznie mniejsze możliwości istnienia i rozwoju. Realizatorzy nie zawsze właściwie odczytują tekst literacki, mają znaczne trudności z zapamiętaniem dialogów, sytuacji i mówieniem tekstu. Dowiodły tego przedstawienia „Qui pro quo” Korzeniowskiego w wykonaniu zespołu z Majdanu Starego (woj. zamojskie) i „Nowe odrodzenie” pokazane przez teatr „Maska” z Frampola. Związczą to ostatnie, oparte na tekstach własnych zespołu, rozmaitej jakości, mających ambicje politykujące, bardzo młodopolskie w sumie, w formie teatralnej będące nieudolnym naśladowaniem działań teatrów studenckich — wydaje się pewnym nieporozumieniem w kategorii teatru wiejskiego, zwłaszcza jeśli chcemy pojmować ten teatr jako twórczość rodzimą, mającą wzbogacać kulturę wsi. Ale o tym nie wszystkie zespoły teatralne może wiedzą, zresztą nikt bynajmniej nie cba o to, by cokolwiek z dziedziny teatru wiedziały. Pracują naczęściej same, bez instruktorów, których, jak wiadomo, zazwyczaj na wsi brak, poświęcają dla teatru większość wolnego czasu i efekty ich pracy budzą w sumie radosne zdziwienie, że aż tyle potrafią. A robią to wszystko z wielkim oddaniem i powagą, wierząc, iż zespołowa realizacja dramatycznego zdarzenia, czyli teatru, jest wyrazem artystycznych potrzeb wsi.

Cieszy w końcu fakt, że obudzona dzisiaj w środowisku wiejskim potrzeba artystycznych przeżyć i doznań nie jest już zaspokajana pospiesznie wyłącznie tandetą (obłudowe chałtury). Te potrzeby zaspokajają się częściowo samorodną twórczością. Teatr wiejski (i wszelka zresztą twórczość), chce mieć określony własny styl i charakter, musi wyrastać z danego środowiska, być w nim zakorzeniony i musi liczyć się z potrzebami i możliwościami tego środowiska, w tym tkwi jego istota i siła. Są zaś w kulturze ludowej pewne ważne problemy ponadczasowe, trzeba im tylko w teatrze wiejskim nadać właściwy wyraz i sens. Teatr ten powinien być zatem nie tylko bawieniem się śpiewkami i strojami, ale musi dawać istotną syntezę wewnętrznego i zewnętrznego życia ludzi, służącą podnoszeniu i bogaceniu kultury wiejskiej.

Większość zespołów, które zjechały na dziesiąty Sejmik tarnogrodzki, świadczy zdecydowanie, że ich działalność jest ważną częścią życia kulturalnego na wsi. Istnienie tych teatrów sprawia, że współczesna kultura wiejska nie musi się nam kojarzyć wyłącznie z makatką o treści: jeleń na rykowisku i z „dyskoteką” w remizie strażackiej.

TAK TRZYMAC KAPITANIE NEMO

Uwodniony białym, niepozornym, ale konającym krajowej estrady także widać spore nadzieje z tzw. muzyką środkową. Znamienne, iż nie heavy metal rock, ani elektroniczne techno-disco, lecz muzyka środkowa ma szanse zdominowania rodzimej sceny. Jej typowym reprezentantem jest coraz bardziej znany Kapitan Nemo. Powodzenie kilku singli zdominowało go wreszcie do rejestracji debiutanckiego albumu, który, miejmy nadzieję, szybko zawita do sklepów muzycznych.

Kapitan Nemo, dowódca całkiem sprawną technicznie, choć młoda jeszcze kapela, to nikt inny, jak Bogdan Gajkowski. Jego nazwisko przewiła się na estradzie od dwunastu lat. Nie wiem, czy ktoś z lubelskich entuzjastów muzyki rockowej namiełał jeszcze debiut w studiu lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia Stremowany solista grupy „Czas” śpiewał na I Lubelskiej Głedzie Piosenki „Złoty helikopter”.

POCZTA LITERACKA

Dariusz W. Łódź. Mam napisać Panu, co sądzę o przestanych utworach. Przede wszystkim wyczuwam to, że łatwo się Panu pisze, a nie widać, aby Pan powracał do tych utworów pracował nad nimi i poprawiał. Ma Pan zmysł spostrzegania dobrze rozwinięty, co jednak z tego, skoro wynikiem jest jedynie opis i to najczęściej banalny, oczywisty. A zdolności? Posiada je Pan, tylko... to, co wyżej.

Marek Ch. Kraków. Można by i u Pana mówić o zbytniej łatwości pisania, która następnie ponosi ołtro tak bardzo, że papier zalewa słowolęstwem. Najgorsze jest jednak to, że nic z tych wierszy nie wynika. Poczucie wielkości, opisywactwo tak wszechobecne, iż nie zniósłaby tego nawet proza, choć zapewne jest Pan jej bliższy niż poezja.

Kazimierz B. Milejów. Niech sobie Pan da spokój i znajdzie pożyteczniejsze zajęcia. To szczerza odpowiedź a o taka Pan prosił.

Marek K. Stalowa Wola. Traktaty i traktaty w poezji nie mogą być w tak widoczny sposób obecne. Jedynie wielki kunszt poetycki potrafi sprawić, że są, ale jak by ich nie było... Nie widzę przyszłości dla takiego pisania!

Andrzej P. Lublin. Kończy Pan swój list: „Obecnie jestem pełen wahań: pisać dalej, czy dać sobie spokój? Proszę o rozstrzygnięcie moich wątpliwości”. Odpowiedź jest oczywista: to drugie. Wszystkie utwory, jakie Pan nadesłał, za tym przemawiają.

Małgorzata S. Międzyrzec Podlaski. Wiersze Pani, prawie w całości, odebrałem jako interesujące i warte przedstawienia naszym Czytelnikom. Przyjemnie jest redaktorowi tej rubryki, gdy wśród setek korespondencji znajduje kilka utworów wartych uwagi i korygujących dalszy rozwój poetycki bądź prozatorski. Przeczytawszy to u Pani, dlatego proszę o dalszy kontakt z działem literackim „Kamena”.

Stawomir S. Lublin. Pańskie utwory są mniej dopracowane, ale i one budzą zainteresowanie. Wiersze z fabulką, we współczesnej poezji i w każdej zresztą, jest to trudne. Zapraszam na rozmowę do redakcji, w której z piątków, Ciekawi mnie, czy spotykany w Pana tekstach pesymizm jest poza i środkiem wyrazu, czy też rzeczywistość współczesny świat to dla Pana takie utrudnienie?

Alfred S. Ostrołęka. Pisze Pan w jednym z wierszy, należących do cyklu „Ponad obojętność”: „duża się chwile ostatniego aktu / zjadając nerwy swoim pustostojem”. W części to autorskie zniecierpliwienie może też odnosić się do Pańskich wierszy. Są krótkie, a mimo to rozgadane. Ma Pan duże poczucie rytmu, niebanalnie włada słownictwem, a jednak czegoś mi w tych utworach brak. Za bardzo nadają się one jako maksymy, złote myśli i dość jasnym moralitetem. Można je wpisywać panienkom do pamiętników, ale czy je drukować? Musi Pan jeszcze wiele przemądrzeć! Starymi narzędziami poetyckimi należy posługiwać się z większym kunsztem i mądrością.

Rytmicznie rozstanie z kolegami, traktujący go jak dziecko, jako młodzieńca przegrane, nie oznaczało dla Gajkowskiego porzucenia muzyki. Studiując anglistykę na Uniwersytecie Warszawskim, nadal szlifował swój warsztat wykonawczy i czekał na lepsze czasy o startu. Krótko kierował amatorską grupą „MAGICZNA MASZYNA” z którą nagrał nawet singla dla Tonpressu. Za profesjonalny debiut uważa jednak udział w sesji nagraniowej drugiej płyty Izabelli Trojanowskiej „Układy”. Wtedy to zetknął się z tekściarzem Andrzejem Mosteńskim, wyrażającym chęć wsparcia słowem jego wymarzonej kompozycji. Współpraca z Mosteńskim zaczęła się od „Elektronicznej cywilizacji” — piosenka ze zmyślnie spreparowanym głosem wokalisty, futurystycznym przesłaniem i ciekawie brzmiącym syntezatorami.

Pierwsze, zaskakujące fanów nagranie sugerowało kierunek wybrany przez enigmatycznego wtedy jeszcze Kapitana Nemo. Co prawda nie posiadał on stałego zespołu, ale już wiedział, że talent, zapal i energia poświęci bez rezerwy muzyce elektronicznej. Przy czym nie był to wybór eksperymentalnej drogi syntezatorowych dźwięków, nakreślonej niegdyś przez zespół Tangerine Dream, ani też landrynkowej dyskoteki w elektronicznym opakowaniu. Nemo zamierzał grać modny skomputeryzowany rock z mocno zaznaczającym się rytmem. Należy stwierdzić iż zamiar ten powiódł się całkiem nieźle. Po „Elektronicznej cywilizacji” Nemo zdołał wyłansować „Słodkie słowo”, „SOS dla planety” i „Zimne kino”. Dopiero wtedy skompletował skład własnej formacji. Zadebiutowali razem podczas wspólnego show z Lady Pank w listopadzie 1983 roku w warszawskiej hali „Gwardia”. Mimo wyczuwalnej tremy kapela zyskała gorący aplauz kilkudziesięcioletniej widowni. Lider przekonał się tym samym, że koncepcja tworzenia muzyki śródka, wspartej syntezatorową aranżacją, ma duże szanse powodzenia.

Blisko roku potrzebował Kapitan Nemo na konsolidację swej załogi i utrwalenie pozycji na muzycznym rynku. W tym międzyczasie udało mu się przygotować pełny program, gwarantujący samodzielne występy. Sa w nim znane z anteny i dyskotek przeboje (m.in. „Twoja Lorelei”) oraz wiele zgrabne premiery, uwiarygodniające pozycję Gajkowskiego jako wziętego kompozytora, oryginalnego soliste i sprawnego instrumentaliste. Nie zdziwił się więc wcale, jeśli Kapitan Nemo olaszynami będzie wkrótce w ścisłej czołówce polskiego rocka. Powodów do optymistycznych prognoz jest co najmniej kilka. Kierowana przez niego

grupa gra z przejęciem chwytliwą odmianę techno-rocka, lekkiego, pełnego finezji, a przy tym pulsującego rytmem. Nemo utwierdził słuchaczy iż posiada wyjątkową smykałkę do pisania efektownych piosenek z ładną, lekką melodią, co sprzyja szybkiemu forsowaniu list przebojów. Jak gdyby tego było mało, potrafi Nemo przemienić swe koncerty w ożywą rozruchaną rytmem zabawę, ku uciechę spragnionej kawałków do tańca publiczności. Towarzyszący mu muzycy nie tracą poczucia dobrego smaku. Nie katuja więc uszu nastolatków syntezatorowymi szumami, lecz wydobywają z „elektronicznych cacek” komunikatywne, wielo- melodyjne dźwięki, i choć łatwo zapadała one w pamięć, trudno byłoby nazwać je kiczowatymi, popularyzującymi brytyjskiej fali „new romantic”.

Gajkowski nie szuka, na szczęście, inspiracji w piosenkach wykonawców z kraju Albionu. Proste melodycznie i harmonicznie utwory stara się łączyć z daleką od banalu instrumentacją — klarowna kolorystyka akordów. Tym samym jest grupa jest ewenementem brzmieniowym na krajowym rynku, mocno ostatnimi czasy zatłoczonym tandetą. Bez uciekania się do cytatów z Vangelisa, Jarre'a, Tomity czy zespołu Yazoo potrafi Gajkowski zaintrygować słuchacza i skłonić do uważnego śledzenia kolejnych fraz oraz przebiegu dźwiękowych. Niestety, taka sztuka udaje się dziś niewielu muzykom.

Longplay, planowany do wydania przez Tonpress, ukáže zapewne jeszcze inne oblicze kompozytora, poświęcającego dużo czasu na wyszukiwanie nowych współbrzmień i środków wyrazu. Oby były one równie udane, jak nagrania z trzech wydanych do tej pory singli. Zdaniem fachowców młoda formacja Kapitana Nemo gra coraz lepiej, ciekawiej, angażując się emocjonalnie. Wierze więc, że szybko zyska ona należny jej rozgłos i uznanie. Powinny jej w tym pomóc liczne koncerty, które podejmuje z wielką ochotą. Na scenie zjawia się zawsze plątka wytworknie ubranych młodzieńców (białe kostiumy przy czarnym garniturze lidera), stawiających na elegancję nie tylko we własnym wyglądzie. Zgrabne melodie wywołują zrozumiały aplauz rozbawionej widowni. Niewatliwym atutem grupy jest moda na elektroniczne, choć to nie tylko ona ściera na występ Kapitana Nemo tłumy młodych entuzjastów rocka. Po prostu Gajkowski ma nietuzinkowe pomysły, którym potrafi nadać atrakcyjny dla młodości kształt. W oczynianach artystycznych śpiewającego lidera pomagają czterej muzycy. Oto oni: Krzysztof Kasprzak i Krzysztof Kobylński — elektroniczne in-



Kapitan Nemo z załogą elektronicznej łodzi

Fot. Archiwum

strumenty klawiszowe, Adam Kolarz — bębny i Marek Bolanowski — gitara basowa. Z postępną tej grupy łączy (podobnie jak wielu fanów) spore nadzieje i nie nie wska-

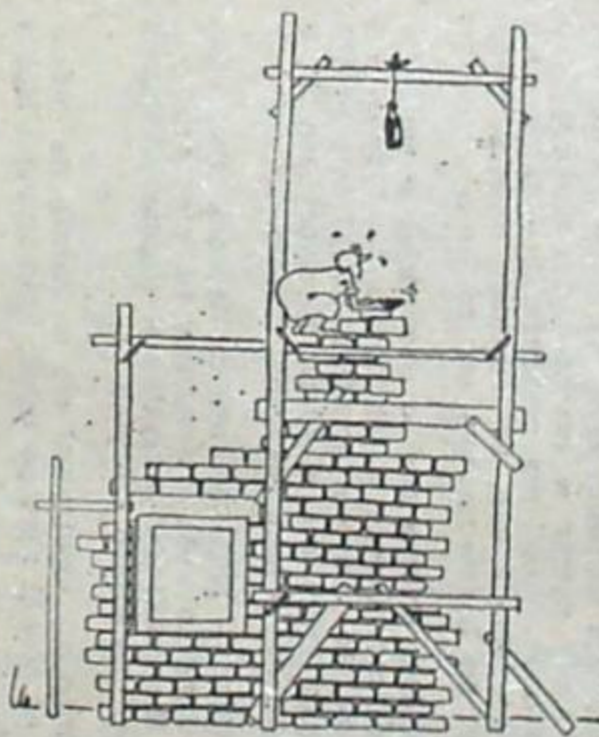
Istvan Grabowski

Rysowane w Monachium

ROBOTNIK budowlany muruje ścianę z cegieł. Robi to pospiesznie: pot zeń tryska sporymi kroplami, kielnia furkocze w dłoni. Człowiek zna cenę wysiłku i cel swojego działania, albowiem kołysze się on nad głową murarza, wabiąc go swym pięknym kształtem: bułtelki z jakimś nie-wodnistym płynem. Rzecz można — oto recepta na przyspieszenie tempa budownictwa mieszkaniowego w naszym kraju i aż dziwi bierze, że nie wypisał jej rodak z nad Wisły, lecz Erik Liebermann z Monachium, który wraz z 13 innymi grafikami z tegoż miasta wystawiał w lutym w Domu Kultury LSM, gdzie pani Katarzyna Tkaczyk sprawnie przygotowała ekspozycję tych zabawnych, refleksyjnych, ale i wstrząsających rysunków satyrycznych, skierowanych kolejno do Warszawy (salon „Szpilek”), Krakowa i Lublina przez monachijskie Towarzystwo Niemiecko-Polskie, liczące około 150 ludzi dobrej woli i działające od prawie 10 lat — przede wszystkim w sferze kultury.

Na wystawie były też inne swojskie, motywy. Jeden z nich to osoba papieża jako gwiazdy mass-mediów, drugi — postać Andrzeja Witko, skarbnika wspomnianego Towarzystwa. Zartobliwy rysunek z Janem Pawłem II krótko jednak przyciągał uwagę publiczności, albowiem po kilku dniach, w nie wyjaśnionych dotąd okolicznościach, zniknął z ekspozycji, trafiając zapewne do jakiejś prywatnej kolekcji, oczywiście wbrew jednemu z przykazań dekalogu. Natomiast pan Witko pojawił się w Domu Kultury w całej swej okazałości, jako doktor nauk humanistycznych, który tytuł uzyskał we wrocławskim Uniwersytecie im. Bolesława Bieruta, za pracę na temat „Lalki” Bolesława Prusa.

Tragiczny podział świata na strefy głodu i sytości, konflikty na tle religijnym, terroryzm, zagrożenie atomowe, degradacja środowiska naturalnego, prezydent Reagan jako komiksowy Superman, bawarski Strauss w roli



Rys. Erik Liebermann

amorka zanurzonego do pasa w kufiu z piwem, widmowy Hitler zatrzymujący na drodze motocyklową „okazję”, której młody kierowca obwieszony jest emblematami SS, żelaznym krzyżem i podobnymi symbolami zdemolowanej pamięci i niewrażliwości moralnej — oto zasadnicza tematyka monachijskiej wystawy (z Lublina przeniesionej do Wrocławia).

Niemcy pokazali ponadto znakomitą serię dowcipów rysunkowych, o takich sobie, po prostu dla śmiechu, utrzymanych nierzadko w poetyce sur-

realizmu. Oto dwóch głosów w saunie wytrzeszcza oczy na trzeciego, który demonstruje pięknie opaloną pupę oraz kompletnie białe plecy i nogi, co prowokuje pytanie: jak on to zrobił, w koszuli do pepka i w pończochach?! Dalej: ośmiu sterników i jeden małutki wioślarz w łodzi na regatach, wciśnięty w miejsce, które zwykle zajmuje sternik — o co chodzi, czy znów mamy do czynienia z „motywwem polskim”?!.

Prace monachijskich różnią się wszak wyraźnie od naszego rysunku satyrycznego, który częściej podnosi problem dewiacji „polskiego losu” w scenerii pospolitej i historycznej, niż np. społeczno-polityczne uwikłania współczesnego świata, tak przyciągające uwagę grafików z Bawarii. Na wystawie próżno przy tym szukać stylizacji wywodzącej się ze świadomości trywialnych komiksów Roberta Crumba, które oglądał chyba kiedyś Andrzej Mleczko, by upowszechnić w kraju rysowane szyderstwo, zaślinione poczucie humoru strasznie wesołego sanitariusza, bezceremonialny stosunek do tradycji (wizja jaj wedle Wernyhory) i w ogóle takie jakiejś nonszalanckiej, „prostackiej” rysowanie — cieszące się wielkim uznaniem szerokiej widowni. Monachijszczy okazali się być bardziej zdyscyplinowani. Def rnując postać człowieka w trakcie budowania jakiejś sytuacji satyrycznej, nie czynią zeń worka na flaki i głupotę, czy krasnoludasa z nosem poniżej pasa. Struktura ich rysunków jest na ogół klarowna, nierzadko realistyczna w opisie detalu i pozbawiona elementów jawnej prowokacji estetycznej (i etycznej), co być może pozostaje w pewnym związku z tamtejszą tradycją sztuki. Przecież i ekspresjonizm grupy „Der Blaue Reiter”, wystawiającej w Mona-



Andrzej Witko
Rys. Józef Tarłowski

chium od 1911 roku, był znacznie łagodniejszy np. od twórczości drezdeńskiego „Die Brücke”, charakteryzował go „romantyczny koloryzm” i znaczne wyrafinowanie w obszarze formy. Tak zatem Gabor Benedek operuje czystym konturem, Olaf Dieter Klama, twórca popularnej postaci człowieka z dużym nosem, również posługuje się prostymi środkami notacji, natomiast prace Pepscha Gottschebera czy Papana to historyjki obrazkowe rozwijające się w przestrzeni trójwymiarowej, modelowane na sposób realistyczny, aczkolwiek pod względem dramatycznym usytuowane na zupełnie innym poziomie kreacji: właśnie nadrealnym...

I na tym urywam ten komentarz do wystawy z Monachium, albowiem o innych jej aspektach pisałem już w „Kamieniu” z okazji polskiej prapremiery tej grupy w salonie „Szpilek”. Dodam jeszcze tylko, że do otwarcia ekspozycji w Lublinie doszło dzięki staraniom Wydziału Kultury i Sztuki Urzędu Miejskiego i kierownictwa naszej redakcji.

IJK

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Wańsiewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopciowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wojcik. Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Barbara Caban.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamierzonych i zastrzega sobie prawo skróć w sprawach literackich przyswaja interesantów kierownik działu w oiaiki w kodz 14-16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 255-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne Im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. Adres redakcji: 20-025 Lublin ul. Skłodowskiej 2/1.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego 255-93, sekretarz redakcji 218-93 dział publicystyki i literackiej 275-33.

Korespondencje zwykłe prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 364/85, 20.02.1985, 1-5

z szyfrem



Rysował Józef Tarłowski

	1	2	3	4	5	6
1						
8						
					11	
12						
					14	
17				18		
						20
22			23			
			26			
28						
					31	
33						
					35	
	37					

ONZELKUC-IZOTHMOCBA

do piwa. 21. reprezentacyjny kwiat. 22. o-
prawa obrazu 24 kawalerzysta 26. przyja-
ciel d'Artagnana 27. poemat Gałczyńskiego.
28. angielska miara długości. 29. pół-człowiek
i pół-korol. 31. zakłady ziemleńnicze. 33.
... Beskidzka i renesansowym zamkiem. 34.
ciężki baw 35. poprzedza uzasadnienie wy-
roku. 36. miasto nad Ropą ze znanym ra-
tusem. 37. dzielnica Gdańska, plaża nad-
morska. 38. najwęższa w białej broni.

Pionowo: 1. jadalny kwiat. 2 w niej
film lub taśma dźwiękowa. 3. kłepaki koń.
4. stynny komediopisarz starogrecki. 5. my-
dłana i czesć książki. 6. futerał do drob-
nych przedmiotów. 10. jeden ze zmysłów.
13. sta zawsze niezadowolony. 18. duża woda.
19. chroni od jezera, ale nie od wiatru.
19. powieść Camusa. 20. krupy. 23. zielony
minerał. 25. odmiana teatru. 28. słup na
statku. 29. żółta. 30. np. walc. 31. 4-kolo-
wy wóz konny. 32. okrywa wlosowa owiec.

SZYFR

A13, C12 / B5, D1 / O11, N14, L3 / E3, A15,
J14, K3, F12 / O5, D13, E17 / K9, F3 / I8,
G4, J1 / M10, L16, G9 / I6, M8, E9, F1 / A3,
M15, H15, O13.

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10
dni od daty ukazania się numeru do adre-
sem redakcji (skr. poczt. 231, 20-930 Lublin).
Wśród autorów prawidłowych rozwiązań
rozlosujemy bonus książkowy wartości 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 3 Z SZYFREM

Poziomo: manifestacja imię. Sin. amper.
tusz. Abel. kartka chrzestny. siła. dykta.
Antek. ucha laurencja. napoje. Iwan. raut.
arena. Iwa. bliń. starożytność.

Pionowo: karmaniola. sfera. asystent. kar-
ta. zaszczyt. lina. kije. Ekwador. bit. sku-
ner. nachalność. kontrast. nadproże. pante-
ra. USA. Jaha. wilk. Nina.

SZYFR

... Muzyka nowoczesna... Nie jest ani dia-
belska, ani anielska, jest pozbawiona duszy
jak balas wielkomiejski

Tadeusz Różewicz

Smierć w starożytności

Nagrodę otrzymał Jan Miesiączek, 39-202
Rzeszów, ul. Kosynierów 2/32.

ne, lecz bez światła; w jego zmiełej twarzy robiły
dziwne, niepokojące wrażenie. „Boże — pomyślał
Kuba — coś za piękne oczy. Skąd takie oczy?” I
nagle uczył dręczącą potrzebę powiedzenia czegoś
dobrego temu człowiekowi.

— Ładnie pan gra — rzekł przelknąwszy ślinę.
— Bardzo lubię takie piosenki.

Harmonista spojrział na niego; uniósł powieki i
wtedy Kuba zobaczył, że oczy tego człowieka są
puste jak wyszła studnia. Kiepska marynareczka
wisiała na nim jak tachman; nie czuło się w tym
człowieku mięśni i ciała. Chuda szyję okręconą
miał bawelnianym szalikiem.

— Zagrać panu „Francois”? — zapytał Kuba.

— Nie. Nienawidzę walców.

— A „Tamaré”?

— Też nie. Co pan jeszcze potrafi?

— Potrafię tłumaczyć sny — ze złością powie-
dział harmonista. — Kiedyś miałem gabinet na
Wspólnej. Ale wszystko się skończyło.

— Władek — powiedział z zachwytem Kuba wy-
konując pełen rozmachu gest — Władek, on po-
trafi tłumaczyć sny... — Zwrócił się do harmo-
nisty: — Czy pan potrafi tłumaczyć wszystkie sny?

— Wszystkie — powiedział apatycznie harmo-
nista. Patrzył w kahuze na ładzie. — Dobre i złe.

Kuba poprawił kapelusz. Oparł się wygodnie o
bufet; ciężkim wzrokiem patrzył na Władka i
harmonistę; byli oddaleni o tysiące kilometrów,
o mgłę; byli przyjacielscy, kochani, dobrzy i czuli;
oni jedni mogli mu w czymś pomóc — nikt inny
na ziemi. Ogarnęło go nagłe dzika, niepohamowana
chęć zgrzywy; owo uczucie nie dające się porównać
z żadnym innym ludzkim uczuciem. Szczęście, ja-
kiego doznaje pijak w momencie zgrzywy, jest
szczęściem najpełniejszym na ziemi. Za ów mo-
ment, kiedy patrzy w czujną twarz oczekując na
niej wstrętu, litości czy przerażenia — pijak odda
wszystko, chciałby wie, że przyjdzie chwila, kiedy
kurczy się będzie na owo wspomnienie.

— Małem dziwny sen — powiedział w zamyśle-
niu, patrząc bacznie w ich twarze. — Gdyby pan
mógł mi ten sen wytłumaczyć... Taki sen zdarza
się chyba tylko raz w życiu. Niedobry sen. Boję
się pomyśleć o nim, tak mnie zmęczył...

— Mów — rzekł bełkotliwie Władek. Bawił się
chusteczką do nosa, zawiązując na niej supły. —
Mów Harmonista ci wszystko wytłumaczy. Artyści
znają się na takich rzeczach.

Harmonista wpatrywał się w kahuze na ładzie.
Kuba przesuwał ręką po czole; było zimno i lepkie
od potu.



MAREK HŁASKO

— A imię mi Kuba, a tobie?
— Mnie Władek.
— Władek, Władek — powtórzył Ku-
ba; wydało mu się, że całe niekno światła
zawarte jest w tym imieniu. Znowu popatrzył na
niego wzrokiem najczulszej kochanki. — Władek —
powiedział kładąc dłoń na jego ręce — zamów
wódkę. Ja stawiam.
— Szefowa — zawołał Władek głosem zza gro-
bu — Dwie wódki. Tylko szybko, bo nam się do
szkoły spieszy...

Kuba zachichotał uszczęśliwiony i klepnął Wład-
ka w plecy. Bufetowa nalała, tym razem odeszła
bez słowa, notując sobie coś na kartce.
— Pij — powiedział Kuba wręczając Władkowi
kieliszek. — Jak Bóg da i partia pozwoli, to spot-
kamy się jeszcze kiedy, nie?
— Obowiązkowo.
Wypili w kacie grający od dłuższego czasu har-
monista zaśpiewał piękny głosami:
Dzień jak codzień, ponury dzień jak codzień.
zepsuty ziew, za oknem mgła.
Kropie deszczu o brudne biją szyby
Sąsied podłe na pianinie gra...

— Niech to wszystko diabli wezmą! — powie-
dział Władek.
— Słuchaj — rzekł Kuba. — Ja lubię piosenki...
Harmonista śpiewał:
Powiedz miła, dlaczego ciebie nie ma.
Czemu serce — tęsknota tre jak rdzeń?
Dzień jak codzień, ponury dzień jak codzień.
Tylko wódka zapomnienie da...

Przejechał z rozmachem palcami po klawiszach
i skończył. Odpinął pasy i położył harmonię na
krzesle. Potem wstał i podszedł do bufetu. Oparł
się o ladę tuż obok Kuby; oczy miał wielkie, ciem-
ne.